

PLUSZCZ

Spoleczno-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiec

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 18 LIPCA 1931 ROKU.

NR. 29.

TREŚĆ NUMERU: Kościół a faszyzm — *Stefanja Podhorska-Okołów*. Dzieci „kochają jeść” — *Marja Kuncewiczowa*. Poezje: „Matce mojej” — *Elżbieta Szemplińska*. Za białą ścianą (szkie powieściowy) — *Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska*. Święci nad Wisłą — *Hanna Mortkowiczówna*. Jak Amerykanki studują sprawy międzynarodowe — *Jadwiga Krawczyńska*. Z przechadzek po przedmieściach Krakowa — *Krystyna Grzybowska*. Strach o pozór władzy — *N. J. Z teatrów* — *S. P. O. Z książek* — *S. P. O.* Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Czy miałyśmy kiedy za wiele — *Wanda Dobrzańska*. O wypadaniu włosów na tle łożotoku — *Dr. med. Zofja Rostkowska*. Ogólne zasady konserwowania jarzyn — *Zofja Skąpska*. Ziemia inspektowa — *Stan. Schönfeld*. Aktualne uwagi o smażeniu konfitur — *Pani Elżbieta*. Dokąd się udać na wywczas letnie? — *Karol Kwaśnierski*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Korespondencje. Dodatek „Mody i roboty”. Arkusz wzorów.

KOŚCIÓŁ A FASZYZM

Oczy całego świata cywilizowanego zwrócone są w tej chwili na Rzym, gdzie rozgorzała w nowej formie odwieczna walka Kościoła z państwem — jako zatarg władzy papieskiej z faszyzmem. Przypatrzmy się, jak wygląda faktyczne tło konfliktu.

Na mocy konkordatu, zawartego dwa lata temu między Stolicą Apostolską a rządem włoskim, ten ostatni przyznał Kościołowi prawo do wychowywania w duchu religijnym młodzieży, skupionej w wielkiej organizacji „Azione Cattolica”. Rząd faszystowski zastrzegł sobie tylko jeden warunek, a mianowicie, że ta działalność wychowawcza rozwijać się będzie „poza wszelką partję polityczną i w bezpośredniej zależności od hierarchji kościelnej”. Obecnie władze faszystowskie czynią Kościołowi zarzut, że do związków „Azione Cattolica” wkradły się żywioły opozycyjne, które, pod pozorem religijnego wychowania młodzieży, szerzą wśród niej propagandę antypaństwową.

Zarzut poważny, który niekoniecznie miał się stać powodem konfliktu, skoro został przez Papieża, w ostatniej jego encyklice z d. 29 czerwca, uroczystie odparty oświadczeniem, że „Akcja Katolicka nie chce i nie może być niczem innym, jak udziałem i współpracą świata świeckiego w apostołstwie hierarchji”. Ale zanim to nastąpiło, młodzież faszystowska poszła dalej, przenosząc spór, narazie teoretyczny, w dziedzinę czynnej i to gwałtownej interwencji.

Zaczął się od tego, że organizacje studenckie faszystowskie zabroniły swoim członkom należeć do „Akcji Katolickiej”. Na tem tle wynikł cały szereg zajść i burd na uniwersytetach. Rząd faszystowski

przypieczętował tę sprawę przymusowem rozwiązaniem wszystkich organizacyj „Akcji Katolickiej”.

Kiedy Kościół energicznie zaprotestował, wybuchła przeciw niemu gwałtowna kampanja w prasie faszystowskiej, nie oszczędzająca nawet osoby samego Papieża. Ta właśnie ostra, demagogiczna i brutalna forma walki pogłębia przepaść, która otworzyła się między wczorajszymi sprzymierzeńcami.

W ostatniej encyklice Papież obecne postępowanie władz faszystowskich wręcz mianuje prześladowaniem. Słusznie pisze jedno z naszych pism codziennych, że w takich wypadkach w średniowieczu papież rzucali klątwę na zuchwałych monarchów. Czasy się zmieniły, ale analogja do walki Grzegorza VII z Henrykiem IV jest aż nadto wyraźna.

Konflikt obecny jest tylko jednym z symptomatów nieuniknionego starcia, jakie nastąpić musiało w tej, czy innej formie między dwiema potęgami, z których żadna nie znosi nietylko supremacji, ale nawet postronnej ingerencji w dziedzinie, którą uważa za swoją wyłączną własność.

Dziedziną tą jest panowanie nad duszami.

Wiadomo powszechnie, że najłatwiej je osiągnąć przez zdobycie wpływu na młodzież. Młode umysły i serca są, jak воск. Jeżeli się jest mistrzem, można z nich lepić taki model przyszłości, jaki się chce. Nadane kształty z latami kamienieją i wszelkie późniejsze wpływy ściekają po nich bez śladu, jak woda. Ideologja umiejętnie zaszczipiona w młodości, o ile się łączy z wyrobieniem charakteru, z zahartowaniem woli, tworzy zazwyczaj ludzi z jednej bryły, aposto-

łów, fanatyków, czy wreszcie rzesze karnych wyznawców.

Wie o tem dobrze Kościół, posiadający jedną z najstarszych i najpotężniejszych organizacyj świata, która w przedziwny sposób odmładza się i przystosowuje do ducha czasu, zachowując w pierwotnej mocy nienaruszalność dogmatu. Kościół, działający od wieków przedewszystkiem drogą nauczania (ambona, konfesjonał, szkoła), gdzie indywidualność ludzka podporządkowana jest całkowicie autorytetowi, w myśl wskazań nowoczesnych stara się rozszerzyć swą ekspansję na akcję kolektywną, w której zmysł gromady, inicjatywa osobista, nawet instynkt walki i indywidualna żądza władzy znajdują pole do całkowitego wyżycia się w ramach, automatycznie skierowujących żywiołowy prąd młodości w pewne, zgóry przygotowane koryto.

W ten sposób Kościół, wyprowadzając jednostkę z roli posłusznego ucznia i biernego wykonawcy przepisów do roli czynnej kowala przyszłości, dotarł do serca młodzieży, zdobył jej zaufanie. Bo młodość, prawdziwa młodość, nigdy nie ufa autorytetom, nigdy nie jest bogata cudzem doświadczeniem. Wierzy tylko własnym siłom; to, co sama zdobędzie, uważa za swoje i gotowa jest za to oddać życie.

Na tem samem psychologicznym zjawisku oparł się faszyzm: zaczął swą akcję od młodzieży. Okazało się, że to jest najpewniejsza odskocznia w potęgę. Nie może być dwu zdań: w ciągu rekordowo krótkiego czasu faszyzm odrodził Włochy. Osiągnął to niewątpliwie drogą przymusu, z oblicza nowoczesnego człowieka starł indywidualność. To mu dało niezawodną moc precyzyjnego mechanizmu, ale może się zemścić na nim w przyszłości, bo do wszelkiej twórczej pracy niezbędne są silne i samodzielne indywidualności. Sama karność nie wystarcza. Nawet z klasztorów (a przecież faszyzm jest swego rodzaju świeckim zakonem), gdzie obowiązuje bezwzględne posłuszeństwo, wychodziły jednostki, które wstrząsały całym światem (Grzegorz VII, św. Franciszek z Assyżu, Savanarola). Faszyzm został wykuty przez genialną indywidualność, ale nie zapowiada, aby sam miał się stać kuźnią genjuszów. Przeciwnie, niweluje indywidualności do jednego poziomu. I w tem tkwi wielkie niebezpieczeństwo dla niego samego, niebezpieczeństwo wyjałowienia.

Jakby w poczuciu tej wiszącej nad nim klęski nieurodzaju, faszyzm dociera do wszystkich źródeł, które go mogą zasilić i związać z krwiobiegiem ludzkości. Takim źródłem był dla niego przedewszystkiem Kościół. Wskrzeszając Państwo Kościelne, faszyzm otworzył wrota nie tylko Więźniowi Watykanu: otworzył sobie nowe, rozległe perspektywy popularności

i posłuchu wśród tych warstw społeczeństwa włoskiego i nie tylko włoskiego, dla których przychylny stosunek faszyzmu do Kościoła miał znaczenie decydujące. Wypadki ostatnie mogą spowodować załamanie się tej popularności. Na czołe odnowiciela Włoch gaszą aureolę rycerskiego obrońcy Kościoła. Jednocześnie demaskują one istotne aspiracje faszyzmu: bezwzględne podporządkowanie wszystkich spraw życiowych interesom państwa. Jest to renesans tradycji rzymskich — Kościół widzi w nim nawet powrót do pogaństwa. Celem Kościoła jest zbawienie dusz zapomocą miłości, celem faszyzmu jest państwo samo w sobie. Stają naprzeciw siebie już nie tylko dwie potęgi, ale dwa kulty. Każdy z nich potrzebuje wyznawców.

Zdawałoby się, że w naszej zmaterializowanej epoce anachronizmem jest walka o dusze — towar, niemający zbytu, niestabilizowana waluta, walor nienotowany na giełdzie światowej. A jednak, kto wie, czy ten brak stabilizacji nie jest właśnie dowodem, że dusza — to swego rodzaju ponadwartość, wielkość absolutna, która przekreśla wszystkie rachunki. Kto zdobędzie dusze, ten będzie panował nad światem.

Faszyzm doskonale zdaje sobie sprawę z tego aksjomatu. I dlatego skłonny jest do wszelkich ustępstw i ofiar materialnych, które, zamiast go osłabiać, podnoszą jego prestiż, a co zatem idzie, i kredyt materialny; ale za żadną cenę nie da sobie wyrzucić tego, co uważa za fundament swego istnienia: młodzież. Autorytetu swego nad duszą tej młodzieży nie chce z nikim dzielić. Zagarnia ją pod swój wyłączny wpływ, jak fala, i, jak fala, rozbija się o — opokę Piotrową. Kościół, stojąc na stanowisku powszechności i ponadnarodowości zarówno w zakresie religii, jak etyki, nie może zgodzić się na wychowanie młodzieży w duchu wyłącznie nacjonalistycznym, jakiego żąda faszyzm. Przytem Kościół wysuwa zawsze postulat wychowania w rodzinie, który, aczkolwiek teoretycznie uznawany przez faszyzm, w praktyce zaciera się coraz bardziej. Kościół mówi:

— Ja tu jestem pierwszy. Mnie Chrystus uczynił rybakim dusz, abym je łowił dla wieczności. Ziemia jest twoja, mnie zostaw wieczność.

Tak, ale gdzie jest granica między ziemią a niebem? Horyzont? Ależ on posuwa się w miarę, jak idziemy naprzód. A faszyzm nie zna kresu w swym triumfalnym pochodzie. Wyznaczyła mu granice Ewangelja słowami: „Oddajcież tedy, co jest cesarskiego — cesarzowi, a co jest Bożego — Bogu“.

Minęło blisko dwa tysiące lat od chwili, gdy wypowiedziane zostały te słowa. Konflikt trwa. Widać, najprostsze prawdy, tak jak linje idealnie proste, najtrudniejsze są do przeprowadzenia.

Stefania Podhorska-Okolóm.



DZIECI „KOCHAJĄ“ JEŚĆ

Miesiąc temu wróciłam ze wsi Sromowce Wyżne w Pieninach. Mieszkalam tam u górala Znańca, a jaść chodziłam do instytucji, zwanej: Dworek Cisowy.

Instytucja, która — jak głosi jej urzędowa pieczęć — jest Szkołą Pracy Harcerskiej, nie słynie wcale w kraju i zagranicą z wyszukanej kuchni. Bynajmniej. Nie przez łakomstwo więc trzęsłam się cztery godziny na worach z pocztą (kanciarza i twarda jest korespondencja polaków!) od Nowego Targu do Czorsztyna, a później godzinkę na paczce, przeznaczonej dla sielskiej kooperatywy... Zabrnęłam w Dunajeczną dolinę z pobudek raczej uczuciowych. A jednak właśnie obiady i kolacje w Cisowym Dworku skupiły na sobie wszystkie moje uczucia! Najpierw przeraziłam się i nawet jakgdyby obraziłam cokolwiek. Tak: to, co ujrzałam, usłyszałam i poczułam (na podniebieniu), obraziło moje nawyki. Później dziwiłam się bez miary... Wkońcu wpadłam w zachwyt.

Rzecz — mniej więcej — tak wygląda:

Duża weranda oszklona, rozwartą — przy majowej pogodzie — na Dunajec i na piegowatą od przymulek czeską stronę. Stoły na kozłach, zasłane ceratą, przy nich długie ławy. We drzwiach, u szczytu schodków, biegnących ku wielkiej, spadzistej łące, zjawia się druchna Kokosia, albo druchna Marol, albo i sama Gaździna¹⁾. Podnosi do ust gwizdek. Znaczący: południe za kwadrans. Gwizd... Natychmiast po wszystkich zielonych zboczach (dom stoi na wzgórzu) zaczynają ciągnąć ku werandzie — pojedynczo i powiązane w gromadki — bose dzieci z brązowymi twarzami. Klap... klap... stukają trepki po schodach: dzieci suną do łazienki na mycie rąk. Rzadko które przechodzi zyzgakowatym krokiem łazika — przeważnie zmierzają po linjach prostych, strudzeni i zajęci. Dwoje dźwiga kubel, pełen chrabąszczy; Haneczka taszczy motykę; jakieś małe gada do siebie — aż zezowate z zapatrzenia w urwany badylek. Witold z Edkiem — brudni — zamieniają półsłowa, naładowane tem mruklivem porozumieniem, jakie znają tylko koledzy z frontu, albo od majsterki: widocznie budowali szalasy. Baśka, Kot, Ewa — ledwie dopadli ściany — opierają o nią karteluski i, wiosłując językami, notują... Byli we wsi dowiadywać się, ile morgów jakim zbożem obsiewają gazdowie i jaka cena od korca: materiał do zadań matematycznych.

Niebawem bractwo wraca na werandę z rękami czerwonymi, a włosami, jak strąki — od szczotek. W mig przesadzają ławki... modlą się chórem... siedzą. I już wszystkie głowy zdarte ku drzwiom, skąd wynurzy się zupa. Jakoż Olek, Jerzy, Malina wkraczają ostrożnie z cynowymi talerzami przed sobą. To dyżurni. Szast prast — talerzy coraz więcej, grochówka chlupocze przez brzegi. Wjeżdża taca z chlebem. Zanim ostatni talerz stuknął o szary koniec, w górze sto-

łu — las rąk, wyciągniętych pionowo, i terkocze zabawny okrzyk: „Repetka!“²⁾. — Dyżurni chwytają puste talerze... Kiedy śpieszą, by — napelnione znowu — ustawić je na poprzednich miejscach, z przeciwnej strony wyrastają ręce i wołanie „Repetka!“. Dyżurni między kuchnią i werandą szaleją. Wreszcie gdzieś na krawędzi dorywają się do własnych porcyj — po oczach widać, że zaznają rozkoszy.

Dwie minuty: pierwsze danie wchłonięte. Kilka głosów piluje: „trepetka!“³⁾. Ale Malina ukróca je wzrokiem. Teraz „plat de résistance“... Na takichże cynowych, tylko płaskich „srebrach“ napiętrzone góry czegoś białego, szarego i zielonego. Białe — ziemniaki; szare — kasza; zielone — trawka (nie, nie szpinak i nie sałata: może lebioda, może pokrzywa, a może coś jeszcze zbawienniejszego...). Jerzy i Olek, rozdając tę potrawę, pieszczą ją wzrokiem bez żenady. Tymczasem stołownicy denerwują się: „Chleba już niema!“. Malina nadbiega z chlebem. Zamieszanie, bo Kaśka buchnęła Gidze pół kaszy. „Repetka!“ — Edek, Jan, Paweł wyciągają ramiona pod sufit. Olek podąża... Wtedy czteroletni Stasio wybiega nagle na środek z talerzem w objęciach i sam grzmi do kuchni.

Druchna dzwoni:

— Stasiu, proszę wrócić. Jerzy jest dyżurny. Stasio w odpowiedzi:

— On jest dyżurny, a ja za to — głodny.

Śmiech. Malec wraca na ławkę i stamtąd macha łyżką:

— Rrlepetka!

Deser. Grzanki, utopione w mleku, przysypane cukrem. Furja... „Trepetek“ nie sposób uśmierzyć. Kokosia — zdjęta litością — pędzi wgląd domu. Po chwili oznajmia:

— Grzanek już niema. Ale może chcecie twarogu z kryształem?

— Wiwat, Kokosia!! Twarrogu!!!

Po obiedzie dzieci będą leżały, strużąc jakieś patyki, sporządzając do niczego niepodobne przedmioty z zagadkowych materiałów. Ktoś starszy będzie głośno czytał.

Zanim to jednak nastąpi, przeplynie chwila najgwałtowniejszych wzruszeń. „Słodka szuflada“.

Kokosia deliberuje: „Staśka wołać, czy nie? Właściwie był niesforny“. Dzieci przysięgają, że Staś nigdy nie będzie niesforny. Więc pokolei są wzywane przed „słodką szufladę“. Na dnie, w przegródkach spoczywają paczki z domu. Jednemu dostaje się herbatnik, drugiemu pomarańcza, trzeciemu kawał cze-

¹⁾ Przełożona szkoły, p. Olga Małkowska, pierwsza harcerka Polski.

²⁾ powtórzyć porcję.

³⁾ trzecia porcja.

kolady, czwartemu — nie. Odchodzą przyciszeni z tym rzadkim łupem, z rozterką w drapieżnych sercach... Bo nie można samemu wszystkiego schrupać, choć ślina tak obficie napływa pod język! Trudno. Albo się jest klawym, morowym harcerzem, albo chytrusem i fajką.

Skąd pochodzą dworkowe dzieci? Czy z baraków?

Nie. Właśnie z bombonjer, ozdobionych Stryjeń-

szczyzną i Andersenem na słodko. W domu — tak samo, jak moi przyjaciele ciechocińscy — sabotowali sny i torty ku rozpacz matek. A teraz „kochają jeść“ trawkę.

Sprawa tajemnicza... Cóż się stało z temi dziećmi? Jakim sposobem je odmieniono?

Sposobem najprostszym i najtrudniejszym w świecie: pozwolono im żyć.

Te dzieci są ludźmi. Wybierają, sądzą, zdobywają, śmieją...

Są u siebie. Są zdrowe.

Marja Kunciewiczowa.

ELŻBIETA SZEMPLIŃSKA.

MATCE MOJEJ

Boże — ja jestem matka.
Kręcę się po pokoju.
Tu mleko, tu chleb, tu agrałka.
Tam — świat czeka na dzieci moje.
I patrzy w moje okno.
I woła na moje dzieci —
Jak moda, jest wielka samotność,
Jak księżyc, miasto oknem świeci.

Ja jestem matka — Boże.
Ja muszę ręką chodzić.
Tu mąż, tu kuchnia, tu dziecko. Człek orze
Na polu śmierci i narodzin.
Kolację się da, zaściele łóżka,
Pacierzy pomoyucza...
Czemu śpi niespokojnie Tuśka?!
Czemu Adaś przez sen się rzuca?!

To księżyc płynie niebiosami.
Matka zasłania okna.
Zasłona jest krótka, dziurawa,
Wydyma ją wiatr wilgotny.

I księżyc już w pokój wpada,
I już po głowach się toczy.
Najstarsza ręce rozkłada,
Oczy otwiera najmłodszy.

Matka wokół z różańcem chodzi,
Kreśli krzyże nad czołem:
O Boże, skoroś kazał kochać i rodzić,
O Boże, niechaj księżyc nie woła!

I poszła, poszła najmłodsza,
A potem poszedł najstarszy,
Księżyc surowy wywołał,
Życie zabrało ich matce.
Wybierały, jak z gniazd pisklęta,
Dzieci z domu, miłość i sława,
Praca, bunt, gra i namiętność.
Matka była stara i słaba.

Boże, ja byłam matka,
Kręciłam się po pokoju,
Teraz jestem jak w grobie martwa,
Księżyc na niebie martwy stoi.
Wywołałeś już moje dzieci,
Zabrałeś je dla życia — MATCE,
Czego mi znów w okna świecisz?
Co mi JESZCZE zabrać chcesz?
Jak moda, jest wielka samotność,
Matka tkwi w oknie, jak ryba w przeręblu.
Miasto szumi za oknem.
NA MATKĘ WOŁA TERAZ KSIĘŻYC.



ZA BIAŁĄ ŚCIANĄ

(szkic powieściowy)

6)

Skrawek bezbarwnej, obcej miłości, wyłonił się z zalewu zachodniego słońca, staje się dziwnym widmem, pozbawionym prawdy.

— ...pisaliśmy do siebie ciągle... żeby całą duszę, wszystką prawdę... Kiedy przyszedł ostatni list, wiedziałam: ostatni. Od tej chwili rwie mnie ku sobie mocą stokroć większą, mocą tych, co odeszli i wszystko wiedzą... — (ach, te kościelne, poważne słowa!).

— ...teraz wiem, zawsze będziemy razem. Tak, jak on pisał. No, bo przecież niedługo już za nim pójdę... o, nie gniewaj się, Renus! Ja was wszystkich Kocham, ale jego najwięcej, jedynie...

Nie, nie pomoże burczeć, strzępić papierki nikłych słów na tę krzywiznę pojęć, na ten sen o umarłym chłopcu ze Szwajcarii. Są przeżycia, nigdzie nienotowane, nieprzeczone. Mimozy wiotkie i młode przeradzają się w wykrzywiony fantastycznie, spaczony w ogniu własnych tęsknot — konar oliwkowego drzewa.

Rena wie: napewno nie można odejść od rąk, które chwytają dobrocią za serce, od dawno drogich, najlepszych oczu, które patrzą w świat od strony zaświata. Nie trzeba mówić: — jak się czujesz, zmierz gorączkę, wypij lekarstwo. — Trzeba wymościć dobrocią przystań dla kwilącego ptaka, który odlatuje w daleką podróż.

I dlatego Rena tu jest. Dlatego zgodziła się:

— Dobrze, pojedę z tobą, Joluś.

Przyjechał także do Zakopanego Stefan (okrąglutkie dwa tygodnie urlopu). Z nim stały się też nowe, dziwne rzeczy. Może nie z nim samym, ale z oczami, które, zwolnione z pod mgły binokli, spojrzały na góry zupełnie jasno, otwarcie. I potem zaraz spojrzały na Renę wprost, przezroczyście. Pierwszy raz w życiu spojrzał ktoś tak bardzo zbliżony do twarzy. Tak, że nie można nic skłamać, tak, że nie warto mówić: „nie rozumiem“.

Cisza wtedy uginała białym ciężarem świerkowej gałęzi... Rena, nie spuszczać powiek (niema przed czym uciekać...), odgrodziła się od *takich* oczu smutnym, niechętnym: „poco teraz?...“.

Była to jedyna broń, którą można było nie zranić dobrego brata, a przecież w tej świątyni piękna nie wolno było zadawać cierpienia.

Tak więc Stefan zmiął w ustach niewypowiedziane słowo (słowo niedość czerwone i niedość mocne). Zdusił w sobie posłuszenie, wrzucił w głąb — jak skarb, którego nie wolno tracić.

Szybko Rena przegarnęła przez duszę melancholijny uśmiech pierwszej męskiej miłości. I bardzo prędko przysłoniła wszystko jasność zimowego dnia. Zostały na codzień jego dobre słowa, łagodne podda-

stwo i maleńka kresczka bólu w kącie nieładnych męskich warg.

Wszystko wreszcie zagubiło się w śniegu.

Kolejno jedna godzina po drugiej przebiegała tunel między: „pan“, a „Stef“. Nie wiadomo, kiedy to się stało (może *wtedy?*), ale mówiło się wprost:

— Stef, o, proszę... jaki cudny świerk...

— Stef, poprawić rzemyk u narty...

Nie znali słów pachnących, zalotnych, specjalnych. Wszystko było proste, jasne, niewymagające tłumaczeń. Niepostrzeżenie otworzyły się drzwi na śnieżysty ogród przyjaźni. I stały się najważniejsze drobiazgi: kiedy trzeba „lepiak“, kiedy — „kurjer“; czy polski bramkarz jest dość silny? czy jutro aby nie będzie „kurzyć“?...

Nie mówiło się ani o biurze, ani o colloquiach.

Prof. Benni zapadł się pod śnieg. Sweter Stefa miał mięciutki wdzięk. Pewien wdzięk posiadały także długie „narciarskie“ nogi i wiatrakowate ramiona, które tak pewnie podnosiły z ziemi, gdy „ta podła narta zawadziła“.

Więc można było tak żyć? Dnie wysysać, jak wonne, niedojrzałe jabłka, noce przesypiać kamiennie. Postracać z drogi lodowate gruzelki udręczeń. Można czuć nieogarnioną ulgę w wysiłku mięśni, trenujących uparcie. Czuć się jedną kropelką zbiorowej, musującej siły młodych, którzy krzyczą: wszystko nasze! Którzy roztrącają góry, zdobyli podniebną skocznię, na lodzie wytańczyli całą grację zręczności! Więc szczęście może smakować tak soczyście i zwyczajnie, jak limonjada?

Właśnie chciało się powiedzieć: tak, z pewnością.

Już żałować, że tylko parę *takich* dni.

Gdy przyszła depesza:

„Przyjeżdżaj zaraz. Nieszczęście“.

Żółta karteczka oddzieliła dzień od nocy. Przyśloniła wszystką jasność.

Nieraz czytało się, słyszało: „trzeba być dzielną“. Czekano się nawet na walkę z tem złem. Przychodziło tylko we śnie, jak potworny przedsmak. I nie można teraz odciąć prostego kawałka prawdy od złudzeń. Żeby tak nagle ze śniegowego pola beztroski w rozpacz (śmierć?)!...

Kolorowe gwiazdki przeleciały po śniegu i zgasły. I zaraz wszystko dookoła znowu nie wie, uśmiecha się naiwnie.

Ręce latają. W krtani nie można utrzymać krzyku:

— Co tam może być? Stef! Zlituj się, może ojciec? Marek? Matka?!

Odrzucone zabawki-narty. Na świeżo rozcięty płat śniegu przylepiło gorzkie wargi milczenie.

Znalazło się mocne ramię, które podtrzymuje cia-

lo (zrobione z galganów). Znalazły się wreszcie w ci-
szy współczujące, bratnie słowa:

— Reniu, spokojnie, spokojnie. Może to jeszcze
nic. A zresztą... to walka.

*

„To walka“.

Telepią, grzechoczą bufory. Gąsienica pociągu
zbyt wolno wsuwa się w otchłań nocy. Zostały wtyłe
góry, śnieg. Radość białych dni starta na proch, roz-
ciągnięta po szynach. Już jej nie ma. Z pewnością na-
wet nie było. Jawią się teraz straszne przypuszczenia,
gra wyobraźni szalejącej dokoła najbliższych: ...może
ojciec, jakiś postrzał... może Marek z Czyńskim lecieli,
spadli...

Nie można odsunąć się od świadomości snem (o,
wczorajsza cudowna nocy snu!). Gazeta wypadła
z rąk: jest zresztą niedorzeczna. Spojrzenie czepia się
bezwstydnie obojętnych twarzy współtowarzyszy,
przywiera co chwila do skaczących, czarnych liter:
„Ciepło-zimno“, „Nie wychylać się w biegu“... Zęby
nie mogą przeżuć gorzkiego smaku rdzy. Lęk co chwila
podchodzi pod gardło. Trzeba powtarzać uparcie
dziecinnymi, bezbronnymi wargami: bądź dzielna.

*

Jakże trudno przejść drzwi, znane drzwi rodzin-
nego domu, za którymi kryje się *nieszczęście*. Przez
długie godziny nieznane, wieloimienne — w jednej
chwili zamyka się w przeraźliwym, krótkim krzyku:
matka!

Stupudowa łapa na karku: stało się. Zapierają-
cy oddech przerażenia na widok kredowej, nierucho-
mej twarzy, sztywnych rąk, złożonych na piersiach;
grozy śmierci — obleczonej w znajome formy.

Cóż pomoże się pytać: jak, kiedy, co się stało? —
Dość, że jest, że zgmiotło barki do ziemi, w bezruch
skuło kolana, w krzyku zakrzepło w piersi. Już upły-
nęło parę minut straszliwej świadomości!

Kto to płacze bezradnie, dziecinnie, wgłos? Oj-
ciec?

Tuli głowę Reny w dygocących dłoniach i dekla-
muje przez łzy:

— Sieroto, opuściła nas... biedna sieroto!...

Marek ma twarz zmiętą przestachem, opowia-
da przez zęby:

— Wczoraj rano, gdy wróciłem z ćwiczeń... na-
gły atak serca... nigdy się nie skarżyła...

Nigdyś się nie skarżyła, mamó! — wybucha
w Renie gorący, rozpaczny szloch i przywiera ustami
do zimnych, skrzyżowanych rąk. Do rąk, które nagle
zbuntowane, ustały w ruchu. Bo oto leżą dokoła ciebie
rozpoczęte prace, niewykończone projekty, zastawio-
ny cały warsztat czeka twoich rąk — matko! Zmęczo-
ne dreptaniem twoje stopy nie pójda już wkoło kie-

ratu, zaprzężonego w dwa konie: obowiązek i dobroć.
Dobroć dla wszystkich, z zatraceniem siebie, dobroć
bezpłatowa, zagubiona, nieuznana!

O, jak dumnie rysują się sine wargi w uśmiechu
wzgardy!... Trzeba było nas budzić, wołać! nie dali-
byśmy ci odejść... Czemu opuściłaś nas, surowa, za-
mknęłaś oczy w obrzydzeniu dla naszego świata?
Gdzie jesteś? W co teraz patrzysz? Matko, matko! Ja-
ka rozpaczliwie obojętna, bezpieczna, samotna! Nosi-
łaś imię: codzienność — teraz dźwigasz ostatnie brze-
mię: śmierć. Wniosłaś w swój ruchliwy dom cichość
wieczności, mękę niezrozumienia. Stoimy przed tobą
mali i nijacy. Czemu nie wołasz nam, gdzie jesteś?
Gdzie poszłaś, mamó?!...

Przyszła litość — gdy ci już niepotrzebna.

Przyszła miłość — kiedy ją odrzuciłaś.

Nie ma domu — kiedy ciebie nie ma.

Rena otarła łzy. Trzeba dać myśli zrozumieć,
trzeba włożyć na rozkołatane serce pancerz. Samej,
zupełnie samej przyjąć to zło i ten ból. Na pomoc
przylatuje fantazja wiary: oto oczyszczona cierpie-
niem, biała dusza idzie między gwiazdy, żeby trwać...

W kącie ryczy Leośka.

Cicho, Leośka, cicho, nie trzeba już Jej martwić...

O, straszne, jedynie prawdziwe godziny pierw-
szego cierpienia!

CZĘŚĆ II.

Suchą twarz mężczyzny muska leciutki cień bó-
lu, szybko, usilnie przykryty plamą dobrego uśmiechu:

— Dowidzenia, Reniu... Wracaj wesół!...

— Tak, tak.

Przeglina się różowy uśmiech dziewczęcych ust,
zawieszony między szarym filcem kapelusza, a opu-
szczoną szybą wagonowego okna.

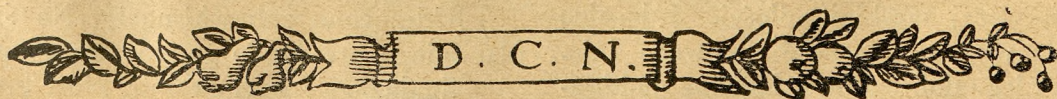
Nagle nieznacznie, bezszelestnie koła weszły
w ruch — i wtedy wydało się Stefanowi, że nie
oderwie ust od drogich sprzymierzeńców — małych
dłoni, gorliwie wyluskanych z rękawiczek.

— Dowidzenia, kochana.

Już wszystko zostało powiedziane, objaśnione,
zapewnione. Jeszcze jeden ruch głowy, jeszcze motyl-
chusteczki, trzepoczący na zakręcie — i trzeba za-
wrócić w starą, codzienną koleinę życia, zdusić w so-
bie krzywdę rozstania, uprzątnąć serce z pajęczyn
smutku. Stefan opuścił dworzec.

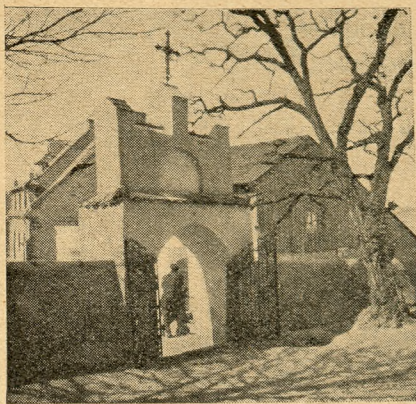
Renie nie trzeba wiele czasu (może zaledwie
czterdzieści słupów telegraficznych wyminąć), aby
przelknąć resztki mdłego smaku pożegnań, aby
strząsnąć z rzęs leżkę rozmodlonego spojrzenia narze-
czeńskich oczu.

Jadwiga Kwiecińska-Korczakowska





*Kamienica przy ul. Senatorskiej
w Kazimierzu.*



Brama do Fary.



Kamienica Gdańska.

ŚWIEĆCI NAD WISŁĄ

Chyba już od trzystu lat idzie święty Krzysztof po rzeźbionej ścianie kamienicy na rynku, w mieście Kazimierz Dolny nad Wisłą. Wsparty na sękacym, gałęzistym kosturze, brodząc po kostki w kamiennej fali, pełnej ryb, raków i wodnych żyjatek, dźwiga na ramieniu Święte Dziecko od czasu, gdy można mieszczanin kazimierski, Przybyła, wzniosł w rynku dom piętrowy, rzeźbiony w kwiaty, maskary i przeróżne ozdoby, a uwieńczony wysoko misterną attyką, czyli brandmurą. Idzie święty Krzysztof na wysokości pierwszego piętra i wciąż nie zdołał jeszcze przejść niewielkiej odległości między oknami, ujętymi w ozdobne obramienia. Wciąż ma nad sobą strzeliste paliki, wygięte ślimacznice i blanki fasady i otwór na rynnę, mającą sprowadzać nadmiar wody z załamanego dachu, a pod sobą — zamurowane dziś wnętrza podcieni. Naprzeciw zaś ma rynek, farę na wzgórzu, szereg starych domów i drewnianych ru-

der i Wisłę, płynącą nieustrudzenie poza nimi, w dole. Na tę Wisłę, bladym rąbkiem przeblaskującą między dachami, patrzy i drugi święty — biskup Mikołaj z infułą i pastorałem, stojący sztywno wśród płaskorzeźb, pilastrów i medaljonów sąsiedniej kamienicy.

Od wielu lat widzą tak tę wodę, przepływającą poza brzegiem, i liczą przemijający czas ludzkich dni i trudów. Dużo go już przebiegło między wzgórzami, porośniętymi berberyssem i leszczyną, nad potokiem, zwanym Grodarz, w śliwkowych sadach i na wiślanych piachach. Wielu także ludzi przeminęło na wąskich ulicach i na rynku, otoczonym przez stare domy, pod ruinami zamku i wieży strażniczej, między farą św. Bartłomieja, św. Anną, a warownym klasztorem Reformatów.

Od czasu, gdy wyrosła na wysokim pagórze zamkowa strażnica królewska, a w dole dźwignięto ściany świątyni, od czasu, gdy konne poczty średnio-



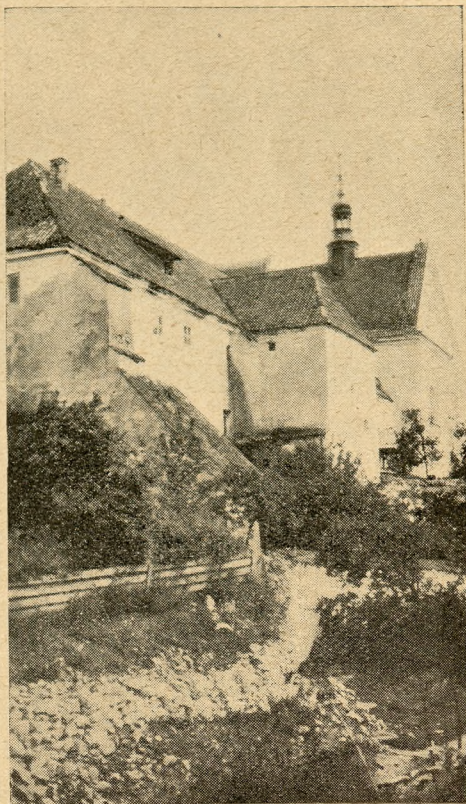
Dom pod świętym Mikołajem i św. Krzysztofem w Kazimierzu.

wiecznych panów stukały kopytami po kamienistych, stromych ścieżkach, a z okien zamku sam może król Kazimierz patrzył na płowo-modre rozlewisko rzeki — pokolenie za pokoleniem wyrastało na wysokim lubelskim brzegu, by z kolei użyżnić swemi ciałami tłustą ziemię.

Lata szły za latami. Rok za rokiem płynęły z ogromną wiślaną falą statki i łodzie z góry rzeki do Torunia i Gdańska. Masztowe, ciężkie szkuty, naładowane zbożem, i dębowe dubasy o ściętych końcach tylnych, z ruskich okolic nad Sanem; czworokątne komiegi, wiozące sól z wielickich żup, rudę żelazną z gór, smołę i potaż; lekkie, żaglowe baty i lich-tany, a także wielorakie tratwy i galary, niosące owoce i drzewo, zawijały co dnia do handlowego, kazimierskiego brzegu. Zaludnił się z latami wiślany port, wzniesiono nad wodą zębate, rzeźbione ściany śpichrzy zbożowych i towarowych składów. Bogaci kupcy z Torunia, Gdańska i Elbląga zaludnili ulice miasta, na zbożowej giełdzie i celnej komorze rozbrzmiewał język Angielezyków, Niemców i Holendrów, ozdobne kamienice senatorów i konsulów wyrosły nad Grodzem i w rynku.

Święci Krzysztof i Mikołaj powstałi właśnie w tym czasie. Kamiennem okiem patrzyli ze ścian swych domów na rynek, kipiący dobrobytem, na bogactwo przybrane w sobole i złotogłowie, na chytróść i spryt, królujący na obradach, zjazdach i ożywionych jarmarkach.

Patrzyli i później, kamiennie i bezradnie, jak zwala się na miasto klęska wojen szwedzkich, kula-



Klasztor Reformatów w Kazimierzu.

mi i pożogą niszcząc bogate gmachy. Potem widzieli, jak Wisła odchodzi kapryśnie z przed frontonów ozdobnych śpichlerzy, jak upada z latami handel nadwiślańskich portów. Po gdańskich i elbląskich kupcach przyszli za Jana III-go żydzi. Ich drewniane domy o gontowych dachach, przybudówkach i gan-kach, ich jatki, sklepy i bóżnica wyrosły wśród zachwaszczonych ruin dawnej świetności. Od roku 1771-go handlowali tu chlebem, śledziem i owocem, zrównani w prawach z resztą ludności.

Targi i jarmarki przestały zaludniać obce kupieckie potęgi. Roili się na nich teraz okoliczni ludzie w brązowych i siwych sukmanach, w płaskich, słomkowych kapeluszach lub kapuzach z barankiem, w haftowanych koszulach i zapaskach, tkanych kolorową nicią. Kręcili się w tłumie żydowscy faktorzy, pojawiali się i sitarze z Biłgoraja w granatowych kapotach, żółtych pasach i barwnych chustkach na szyi, flisacy z nad Sanu i Dunajca i z pod Krakowa.

Wraz z wiosennym i jesiennym spustem nie płynęły już Wisłą ciężkie, ładowne komiegi i szkuty; przeważały teraz łodzie płaskie, tratwy, wiązane z drewnnych bali, galary, sprzedawane po ukończeniu drogi na opał lub budulec. Potem pojawiły się barki i krypy, oraz berlińki, naładowane owocem; wreszcie dychawiczne, białe, zakopcone statki parowe poczęły się przepychać między piachami mielizn, w górę i w dół rzeki.

(d. c. n.)

Hanna Mortkowiczówna.



Fara w Kazimierzu.

JAK AMERYKANKI STUDJUJĄ SPRAWY MIĘDZYNARODOWE?

(Wizyta p. Racheli Nason w Polsce).

Pani Rachela Nason (Mrs. Randolpt Palmer Nason) była prawdziwą niespodzianką.

Zdawałoby się, że Amerykanka, która przyjeżdża do Europy, jako przedstawicielka szeregu organizacji kobiecych, tworzących „Komitet Studjów nad przyczynami wojny i zapobieganiem jej“, i która ma badać między innymi sprawę gdańsko-pomorską (tak zwanego Korytarza), i która jest w dodatku Kwakierką — musi być zjawiskiem aż nadto poważnym z wieku i urzędu, surowym w obejściu i najpewniej oceanicznie dalekim od zrozumienia zagadnień i bolączek polskich.

Tymczasem okazało się, że pani Rachela Nason — to młoda, 32-letnia kobieta, ładna i pełna wdzięku, równie wesola i urocza, jak poważna i inteligentna, wykształcona ekonomistka. Nakreśliła sobie kilkumiesięczny plan pracy w Europie (m. inn. i w Polsce), tak skonstruowany, by osobiście zwiedzić dokładnie teren swych badań i móc rozmawiać z miarodajnymi ludźmi różnych narodów, rządów, stronnictw, bez uprzedzeń i z widoczną dobrą wolą pragnąc zbudować sobie obraz sytuacji.

Ale — pomijając sympatyczną indywidualność Amerykanki — jakie motywy mogą skłaniać organizacje kobiece z za Oceanu do studjowania zagadnień polityczno-gospodarczych w tej formie?

Zapytałam o to wręcz panią Rachelę Nason. Zabłysła czarnemi, żywemi oczyma i, mówiąc naprzemian po francusku i angielsku, opowiedziała mi o zupełnie oryginalnym typie współpracy społecznej kobiet, wytworzonym na gruncie stosunków amerykańskich.

— Dlaczego kobiety studjują zbiorowo kwestje tak poważne i trudne? Oto Amerykanki, spotykając się w klubach i organizacjach kobiecych, rozwijają nowe inicjatywy i tak, pod wpływem rosnących zainteresowań rzesz kobiecych sprawami ogólnymi, powstał przed 6-ciu laty „Komitet Studjów nad przyczynami i zapobieganiem wojnie“ (National Committee on the Cause and Cure of War) z siedzibą w Nowym Jorku.

Nie jest to organizacja pacyfistyczna, lecz wyłącznie badawcza, poświęcona studjom we wskazanym kierunku. Chodzi o uświadomienie kobiet o najważniejszych zagadnieniach współczesnych, wywierających wpływ na politykę, gospodarkę światową i bieg cywilizacji. Komitet nasz reprezentuje wydziały spraw zagranicznych 11-tu różnego typu wielkich organizacji kobiecych, liczących w sumie 5.000.000 członkiń.

Przewodniczące tych organizacji tworzą Komitet Honorowy, zaś komitet pracujący (zarząd główny) składa się z wybitnych działaczek międzynarodowych, z panią Carrie Chapman Catt, jako przewodniczącą. Pierwszą wiceprzewodniczącą jest znana w Europie miss Ruth Morgan, skarbniczką również znana na gruncie genewskim pani Edgerton Parsons ze Stow. Kobiet z Wyższem Wykształceniem.

Corocznie w Waszyngtonie, w styczniu, odbywa się wielka 5-cio dniowa Konferencja „Komitetu Studjów nad przyczynami i zapobieganiem wojnie“

przy udziale przeciętnie tysiąca kobiet ze wszystkich należących organizacyj, z miast, miasteczek i oddalonych nieraz okolic Stanów Zjednoczonych.

Na konferencję przyjeżdżają znakomici specjaliści, profesorowie, historycy, ekonomiści, dziennikarze, biorący udział, jako wykładowcy i eksperci w dyskusjach.

— Jaki jest system pracy konferencji?

— Zagadnienia, które mają być tematem obrad Konferencji, muszą być przygotowane przez odpowiednie studia, planowo obmyślane i wskazane członkiniom przez zarząd główny. Przybywające na konferencję uczestniczki muszą się wykazać w dyskusjach znajomością przedmiotu, nad czem czuwają przewodniczące oddziałów. Badają one, czy członkinie przyswoiły sobie potrzebny zasób wiadomości, czy skorzystały z referatów i odpowiedniej literatury. Jest to może „szkolny“, lecz skuteczny i prosty sposób urabiania poglądów i wiadomości o sprawach współczesnych.

Studia oparte są na zasadzie bezpartyjności, nawet wtedy, gdy tyczą się zagadnień politycznych. Oczywiście, niezawsze wszystkie uczestniczki zgodzą się na jeden punkt widzenia, niezawsze wnioski nasze są jednakowe... Ale sądzymy, że lepiej nie zgodzić się, lecz czegoś się nauczyć, niż nic nie wiedzieć. W każdym razie łączy nas wspólne stanowisko poszukiwania prawdy i sympatja dla innych narodów — podkreśla pani Nason.

— Jakie tematy były omawiane na dotychczasowych konferencjach?

— Poszukiwanie przyczyn wojny, organizacja państw w celach wojennych, redukcja zbrojeń i instytucje rozjemcze międzynarodowe; dalej takie zagadnienia, jak długi i odszkodowania wojenne, rozbrojenie i imperjalizm, taryfy celne, ceny i inne problemy ekonomiczne międzynarodowe, zawsze pod kątem widzenia ich wpływu na sprawy wojny i pokoju.



Mrs. Rachela Nason.

Najbliższa konferencja w styczniu 1951 roku będzie poświęcona „ogniskom niepokoju w Europie”. Moja misja dotyczy właśnie tej sprawy. Opinia amerykańska i nasi politycy i historycy śledzą i pilnie studjują zagadnienie „korytarza gdańskiego”, uważane za jeden z trudnych problemów europejskich.

Tak tedy zadaniem pani Racheli Nason będzie związać intelektualnie i pogładowo wielkie masy obywateli Ameryki z żywotnymi sprawami Polski współczesnej. Nie należy tego lekceważyć. Pani Nason w porozumieniu z oficjalnymi czynnikami, spędzi w Polsce kilka miesięcy i zamierza poznać szczegóło-

wo Pomorze i okolice Gdańska, zwiedzić wsie i zbliżyć się możliwie do ludu pomorskiego.

A potem złoży ze swych badań i studjów sprawozdanie przed Konferencją swego Komitetu w Waszyngtonie.

Czy nie byłoby rzeczą nie tylko pożądaną, ale wręcz konieczną, by na tej konferencji styczniowej w Waszyngtonie znaleźli się, jako goście, nie tylko wybitni rzeczoznawcy polscy, lecz i przedstawicielki polskich organizacji kobiecych? Powinno to stać się staraniem tych kół i tych działaczek naszych, które zajmują się sprawami międzynarodowego pokoju.

Jadwiga Krawczyńska

Z PRZECHADZEK PO PRZEDMIEŚCIACH KRAKOWA

Gdy tylko pora roku pozwoli, gdy nadejdzie ciepła i pogodna niedziela, pół krakowskich przedmieść wyłęga na Błonia. Z pobłażaniem i nieco sennie, znudzony już i przywykły do wszystkiego, spogląda na szare mrowisko Kopiec Kościuszki, błyskając, niby ciężką powieką — słońcem, odbijającym się w oknach starego, po-austriackiego fortu. Prostem, jak strzała, alejami spaceruje elegancka i rozflirtowana publiczność niedzielna. Obok — na szerokiej płaszczyźnie trawników — skromne tłumy, zmęczone pracowitym tygodniem, wypoczywają, świecąc siesty rodzinne lub niewinne sielanki miłosne. Mężczyźni drzemają wygodnie, zdjawszy obuwie i podłóżywszy pod głowę niepotrzebne kamizelki, lub czytają „Kurjerka”. Kobiety pilnują rozbawionych gromadek dziecięcych i snu głośno chrapiącego męża. Nieco dalej czuła parka trzyma się za ręce, wystrojony młodzieniec przygrywa z temperamentem swej lubej Mani (czy Andzi) na piskliwej harmonijce. Chwilami wybucha opodal wrzawa, przypominająca fragmenty z któregoś tam, niedawno słyszanego dźwiękowca. To na pobliskim boisku widzowie witają okrzykiem „goala”, zdobytego przez ulubioną drużynę. Jeszcze dalej kręcą się karuzele, katarynka, ukryta w środku maszynierji, gra jadącym sentymentalnego walca; strzelnica „afrykańska”, kolejka djabelska i huśtawki dopełniają sensacji i dają niewyczerpane pole wrażeń.

Niestety, miasto co roku urywa kawałek tych zielonych trawników, tych „płuc Krakowa”. Jak grzyby po deszczu, wyrastają eleganckie, nowożytnie kamienice. Prawie, że środkiem Błonia przebiega nasyp świeżo wytyczonej ulicy. Jednak zawsze jeszcze widać w oddali zamglone zarysy pagórków Ojcowa, a na skraju Błonia parę niewielkich domów i willi, otoczonych zielenią ogrodów, lub nawet łaanami zbóż, przypomina, jak niedawno królowała tu niepodzielnie wieś.

W powszedni dzień ten szary tłum gubi się w równie szarej monotonji miasta-maszyny. Odnaleźć ich można przy warsztatach rzemieślniczych, w niskich suterenach; za małemi okienkami, pełnemi doniczek pelargonji, fuksji i kaktusów, kwitnących, jak na ironję, soczystymi, czerwonymi kwiatami, tam,

gdzie blado i anemicznie rozwijają się inne miejskie kwiaty — dzieci.

Nie trzeba jednak na ten temat zbyt wiele narzekać. Coraz lepiej ostatnimi czasy jakoś powodzi się tym dzieciom. Poradnie przeciwgruźlicze i przedmiejskie stacje opieki nad matką i dzieckiem cieszą się dużym zaufaniem.

— Bo i jakże — mówi stara, przygarbiona kobieta, tocząc przed sobą przeraźliwie skrzypiący i chyba jeszcze jej dzieciństwo pamiętający wózek z niemowlęciem. — Córka trzeci miesiąc leży, jak kłoda; kto by co z tem małym umiał? Ja tam stara! A w poradni, to mi zawsze powiedzą, co i jak; mleko dadzą zadarmo we flaszczyce, ino dziecku pić.

Inna opowiada, że tem mlekiem, co jej dla dziecka dają, i czworo starszych obdzieli. „Tylko wody dolewam”.

W poczekalniach poradni kolorowe afisze po ścianach głoszą naczelne przykazania higieny i pedagogiki; między innymi: sznur dzieci-aniółków, pukających do bram niebieskich, a witanych przez św. Piotra z ogromnym pękiem kluczy — ostrzega: „Matki, pamiętajcie same karmić swe dzieci!”. Pod afiszami siedzą stroskane nieraz kobiety z dziećmi na kolanach, wyjmują z przestkach zakazane „smoczki” z małych buzi na widok otwierającej drzwi pielęgniarki i, zażenowane, uciszają zbyt głośne okrzyki swych małych pociech.

Nie tylko instytucje dla matek możemy spotkać w naszych spacerach po przedmieściach krakowskich. W nowopowstałej dzielnicy, za wylotem ulicy Długiej, stale w pewnych godzinach gromadzi się tłum, przeważnie z mężczyzną złożony. Tłum nachmurzony, zdenerwowany i niespokojny. Bezrobotni. Gromadzą się przed urzędem Pracy, przed budynkiem, w którym mieści się biuro pośrednictwa pracy, gdzie wypłacają zasiłki i gdzie jest instytucja świeżo powstała, dawniej nieznana: Sąd Pracy. Ulica nowa, nieco modernistyczna, geometrycznie regularna, wesoło spoglądająca na świat Boży szerokimi oknami swych domów — dziwnie kontrastuje z wytrwałą masą szarych ludzi, stojących na jezdni, siedzących na chodnikach i po progach bram. Zajeżdżające auto nie utożsamia się wśród nich drogi, śpieszący przechodzień

musi się rozpychać łokciami. Takich zresztą niewielu, bo niewykończona jeszcze ulica jest bez wylotu, zamknięta. Nie można nie pomyśleć, że podobnie bez wyjścia wydaje się nieraz przyszłość tym ludziom, wyczekującym na bruku bez pracy, często od wielu tygodni.

Niekoniecznie tylko przykre refleksje nasuwa ten urząd Pracy. Humorystycznych stron dopatry się z łatwością ten, komu przypadek pozwoli spędzić parę godzin na sali rozpraw w Sądzie Pracy. Jest to teren, na którym rozgrywa się wieczny konflikt między pracownikiem a pracodawcą, Proletariatem a Kapitałem. Czasem Kapitał ten wygląda trochę biednie, (np. gdy go reprezentuje pocziwy stary żyd w załuszczonej, a może i wyświeconym chałacie), lub naiwnie (gdy oskarżony tłumaczy się głosem tegoż żyda: „Jak ja chodził do bożnicy, to on sobie szedł do domu, a ja muszę codzień do bożnicy na dwie godziny, więc ja mu odciągnął dwadzieścia złotych miesięcznie, jak ja jego wypłacał“).

„Proletariat“ bywa zato snobem; przychodzi w osobie młodej panienki z zakręconą grzywką, pretensjonalnie umalowanymi ustami, i na zapytanie sędziego, czem się trudnił, odpowiada: „Jestem na posadzie“.

Sędzia pyta, na jakiej; panna mówi: „pracuję“. „W czym pracuje?“ — pyta sędzia. Skrzywiona, patrząc w ziemię, bąka panna, że „przy szkle i przy wodociągach“. Wkońcu dowiadujemy się ostatecznego sensu: panna myła flaszki.

Niewątpliwie, ostateczną konkluzją każdego bezstronnego człowieka musi być wniosek o pożyteczności takiego sądu. Pewnie, że wielu pracowników skarży przez zemstę za wydalenie lub z chęci wyzysku. Ale Sprawiedliwość, choć ślepa, prędko odoczy ich zwracać się do niej — niepotrzebnie. Zato ochroni mnóstwo innych od krzywdy, która jest nieunikniona tam, gdzie schodzi się słabszy z silniejszym.

Dla innego rodzaju słabości, mianowicie dla tych, którzy stoczyli się na samo dno nędzy nie materialnej już, ale moralnej, tych błakających się po przedmieściach cieni — złodziei, włóczęgów i prostytutek — jest przeznaczona inna instytucja, nie mniej pożyteczna. Jest nią mianowicie Towarzystwo opieki nad więźniami, zwane krótko Patronatem. I ono posiada na przedmieściu swoją placówkę. Jest nią mały domek w ogrodzie, przytulonym do stromych zboczy góry św. Bronisławy, znanego w Krakowie „Salwatora“ — dzielnicy, pełnej pięknych willi i ogrodów. Jest to schronisko dla kobiet, wychodzących z więzienia. Każda może tam przyjść, każda może swobodnie odejść, gdy zechce; jest to tylko schronienie — nigdy przymus.

Schronisko to istnieje dopiero trzeci rok, lecz niema jeszcze roku, jak środki materialne pozwoliły na należyte jego zorganizowanie. Podkreślić trzeba,

że jest jedyną tego rodzaju instytucją w Polsce. Przecież, kto się z niem bliżej zapozna, widzi, jak owocną była ta skromna i cicha praca.

„Wychowanki“ tego zakładu, jak objaśnia mnie pani Marja Roblowa — bezpośrednia ich przełożona i opiekunka — są przeważnie karane za włóczęgostwo, zwykle równoznaczne z prostytutką, czasem za kradzież; było kilka za dzieciobójstwo. Pani R. podaje wiele ciekawych szczegółów o ich psychice.

— One wszystkie są przeważnie chore nerwowo — powiada. — Brak im woli, energii i panowania nad popędami. Nie brak natomiast dobrych chęci. Podobne są z upodobań do dzieci: zachwycają się kolorowymi okładkami książek i obrazkami. Najtrudniej utrzymać je w schronisku w dzień pogodny. Jedną z dziewcząt, zapytana, czemu odchodzi, odpowiedziała: „Kiedy, proszę Pani, tam tak słońce świeci!“ — Jak pensjonarki, przepisują ulubione wiersze, a czytanych głośno słuchają bardzo pilnie, zwracając uwagę przede wszystkim na ich rytm i melodię. Czytać bardzo lubią; najchętniej czytałyby powieści o treści romantycznej. Tych jednak, ze zrozumiałych względów, nie dostają, tak samo, jak i kryminalnych. Zajmuje je praca w ogrodzie, same sobie hoduja warzywa na zimę, kwiaty do kaplicy więziennej. Opiekują się kurami, królikami, kotem i psem. I dzieci znajdują się w schronisku (gdy się tak złoży, że zgłosi się niemająca się gdzie podziać matka), więc i dziećmi się zajmują.

Bardziej zaufania godne posyła się na kursa introligatorskie i handlowe. W ten sposób kilkanaście zyskało dobry sposób zarobkowania i możność powrotu do normalnego życia. Inne zajmują się szyciem i robotami ręcznymi. Jednak zajęcia muszą być starannie dostosowane do specjalnej ich psychiki; trudno byłoby zająć je odrazu pracą, obliczoną na dłuższy okres czasu i zbyt systematyczną. A celem Schroniska jest przede wszystkim — wyćwiczyć je w pracy nad sobą, nauczyć wytrwałości w postanowieniu, uspokoić nerwy i wprowadzić życie na normalne tory. Że się to udaje — można sprawdzić, przeglądając dziennik Schroniska, w którym zapisywane są wszystkie szczegóły, dotyczące się każdej z wychowanek w czasie jej pobytu w Schronisku, a także przyczyny jej wystąpienia i mniej lub więcej szczegółowo dalsze jej losy. Są to przeważnie młode dziewczęta, między dwudziestym a trzydziestym rokiem. Przy odpowiednim trybie życia, w pogodnym i życzliwym otoczeniu, przy pracy na świeżem powietrzu — powoli wraca do równowagi ich skolatany system nerwowy, praca nad sobą czyni z nich normalnych członków społeczeństwa. Te, którym zbraknie siły woli, idą w świat na poniewierkę i przygody. Gdy zechcą wrócić — zawsze otworzy się przed nimi brama cichego schronienia i przywita u wejścia wyciągniętymi ramionami posąg Matki Boskiej, jakby zachęcając zbłąkanych, a nieufnych: „Wejdźcie! tu spokój i zapomnienie“.

Krystyna Grzybowska.



STRACH O POZÓR WŁADZY

Twierdzić można chyba śmiało, że senat francuski nie stoi na czele doskonałych miejsc rozrywkowych, jakie posiada Paryż, a jednak działa się tam w ostatnich dniach sesji parlamentarnej ubiegłego miesiąca sceny, które proszą się o ilustrację Offenbacha.

Bo wyobraźmy sobie dwustu z górą starszych panów, których tak łatwo byłoby przebrać w greckie togi z jakiejś Pięknej Heleny, toczących zaciętą dysputę na temat: dyskutować, czy nie dyskutować?!

Tłoczą się głosy, rozpościerają opinie, padają ważne zdania i historyczne nazwiska: Millerand za, Poincaré, Chéron (ważne: skarb). Naturalnie: tak.

Rząd nic nie wie, rząd będzie zaskoczony, niema przedstawicieli rządu!

Przeciwnie: rząd jest oddawna uprzedzony. Nie ma żadnych przeszkód do dyskusji.

Ale o czymże to, o co chodzi? Memorjał Hoovera, pokój światowy, pożyczka X miliardów?

Nic podobnego! tylko prawa polityczne kobiet francuskich.

Sprawa była jasna, jak Boży dzień: Izba posłów uchwaliła prawa wyborcze kobiet i przekazała do zatwierdzenia senatowi, który, jak wiadomo, istnieje poto, aby hamować zbyt „postępowe” ustawy.

Senat francuski wywiązuje się sumiennie ze swego zadania: sprawę kobiecą zahamował tak dokładnie, że odrzucił ją przed ośmiu laty, a gdy w r. 1928 Izba posłów znów ją uchwaliła, odraczał dyskusję przez trzy lata, aż wreszcie, przyparty do muru w roku pańskim 1931, znów odroczył!

Francuzki muszą mieć dużo cierpliwości, ale mają już na szczęście, i wielką dozę dobrego humoru, to też pisma kobiece wydają się szczerze ubawione następującym incydentem: w głosowaniu padło 186 kartek za odroczeniem dyskusji o prawach kobiecych, a tylko 97 za nagłośnią rozprawy; według wszelkich praw logiki arytmetycznej powinno być 283 głosujących; coż kiedy senatorów, obecnych na sali w chwili głosowania, było tylko trzydziestu, a ilość oddanych kartek przewyższyła początkowo liczbę wszystkich członków senatu! „Większość”, potępiająca prawa kobiet, wygląda w tem świetle dosyć mętnie, ale to jeszcze nie wszystko.

Okazało się, że ośmnastu senatorom, *członkom grupy feministycznej*, przypisano, nie wiadomo jakim sposobem, że głosowali przeciw nagłośni; w liczbie tych znajdują się między innymi b. minister skarbu Chéron i Millerand, którzy już założyli protesty!

Wogóle cała sesja przedziwnie przypominała operetkę, pomimo, a może właśnie dlatego, że starano się ją utrzymać w tonie arcydostojnym.

Zaczął się to zaraz w „pierwszej odsłonie”. Pierwszy zabrał głos senator René Héry — przewodniczący komisji, która miała opracować projekt o prawach politycznych kobiet, do dyskusji.

Obyczajem parlamentarnym jest, że komisja, przygotowująca projekt, zapoznaje się z nim, opracowuje go, stawia swój wniosek, a przewodniczący jej przedstawia go plenum do dyskusji i zatwierdzenia, lub ewentualnie odrzucenia.

Pan senator Héry zaś rozpoczął przemówienie od opowieści, że drugiego członka komisji dotknęła w tym czasie żaloba! Co to miało mieć wspólnego z prawami kobiet, nie wiadomo, dość, że p. Héry wyciągnął z tego wniosek odroczenia dyskusji nad projektem.

— Czy może wniosek nie jest gotów, wskutek nieszczęścia, które dotknęło pana Renault? — zapytuje jeden z senatorów.

— Nie, odpowiada pan Héry, ale kolega Renault jest również zdania, że nie możemy obecnie mówić o tej sprawie!

— Ależ tu chodzi nie o zdanie senatora Renault, ale o opinię *Senatu!*

— Senat wypowiedział już raz swoją opinię.

— Przepraszam! woła jeden z senatorów, to było *dziewięć lat temu*; ja np. nie byłem jeszcze wtedy senatorem.

Biorąc pod uwagę, że do Senatu wchodzi jednak ludzie starsi, że skład jego zmienia się przez wybory, można sobie wyobrazić, ilu członków tego dostojnego zgromadzenia nie brało udziału w głosowaniu z 1922 r., pomijając już, że bez względu na to, jak senat zapatruje się na daną sprawę i cokolwiek o niej zaopiniował w przeszłości, *obowiązany jest* wziąć ją pod obrady, z chwilą przekazania przez Izbę posłów do nowej decyzji. Ale to wszystko są argumenty zwykłej, prawnej logiki, ta „męska” była widocznie inna. Próżno senator Straus tłumaczył, że dyskusja nad projektem nie stanowi przecież jego przyjęcia (to zresztą rozumie chyba nawet, każdy uczeń szkoły średniej), że, o ile znajdują się ważne argumenty przeciwko przyznaniu kobietom praw wyborczych, lub poszczególne paragrafy projektowanej ustawy nasuną wątpliwości, senat może przecież projekt odrzucić, lub zmodyfikować, nie nie pomogło.

Ktoś rzuca wreszcie dowcip, że chyba od początku dziejów parlamentu nie zdarzył się wypadek, aby przewodniczący komisji zadawał sobie tyle trudu, w celu niedopuszczenia swego wniosku na plenum!

Słychać śmiechy i głosy oburzenia, brakuje tylko dyrygenta chóru, a byłaby gotowa operetka.

Wkońcu zarządzono głosowanie: dyskutować, czy nie dyskutować? Rezultat, jak powyżej, wypadł: *nie*, dzięki właśnie czemu, wiadomo...

Skąd w parlamencie francuskim ten paniczny strach przed kobietami? Trudno doprawdy zrozumieć. W życiu publicznym zajęły i bez praw formalnych wcale poczesne miejsce; adwokatura, urzędy i inne wolne zawody, stanowiska społeczne są dla nich dostępne; w przemyśle, handlu, oświacie pracują mamasami; odznaczają się w nauce, literaturze i sztuce; w życiu prywatnym umieją bardzo krótko trzymać mężów i synów. Chyba, że dlatego właśnie ci mężowie i synowie tak bronią swej jedynej ostoji w pałacu burbońskim, w gmachu parlamentu.

Nie potrzeba dodawać, że to znów jest „męska” logika: strach o pozór władzy. Tego właśnie pozoru bronił senat z zapalem, godnym lepszej sprawy, i środkami, godnymi gorszej.

Obrona ta będzie naturalnie tylko czasowa, kobiety francuskie czekają.

N. J.



Z TEATRÓW

TEATR POLSKI.

„Ludzie w hotelu”. Sztuka w 5 aktach (16 obrazach) Vicki Baum. Przekład Stanisława R. Standego. Reżyserja K. Borowskiego, dekoracje St. Śliwińskiego.

Jednoczesny przekrój życia wielu ludzi, których przypadek skupił na wspólnym terenie wielkomiejskiego hotelu — oto treść sztuki.

Coś podobnego widzieliśmy w „Ulicy” Rice’a, tylko tam, pomimo pozornej wielopłaszczyznowości, zachowana była nie tylko jedność miejsca, ale i jedność akcji; sztuka miała wyraźny pion, epizody doskonale obrastały jej kręgosłup. Przytem chodziło o ludzi mniej więcej jednej sfery, skutych automatycznie ze środowiskiem.

W „Ludziach w hotelu” krzyżują się szlaki przelotnych ptaków, których zbija w gromadę żądza zysku, sławy, użycia — głód chleba i głód miłości.

W szeregu kinematograficznie przesuwających się obrazów pokazano nam te punkty przecięcia się torów ludzkich, momenty najwyższego napięcia namiętności, starcia, decydujące o katastrofie, wykojeniu się lub karierze. Tu niema miejsca i czasu na półtony, półświatła, niedomówienia. Wszystko jest brutalnie obnażone, rzucone w ostre światło reflektorów, a potem usunięte z pola widzenia w ten sam automatyczny sposób, w jaki zostało na nie wprowadzone.

Wielki hotel — to ul, w którego każdej komórce kipi jad, o pozorach i smaku nęcącej słodczy. Ludzie lecą na ten lep, jak muchy. A tej pogoni za miodem zatrutym przygląda się postać, jakby zablakana z Ibsenowskiego dramatu: doktor, który stracił na wojnie jedno oko, ale drugim przenika ludzkie tajemnice — samotny Argus hotelowy, przerywający czasem milczenie głosem sumienia, pozornie obojętny widz i obserwator, który z bezczynnu umie, gdy trzeba, przejść do żywej interwen-



Mila Kamińska i Munclingrowa w sztuce „Ludzie w hotelu”.

cji; człowiek, wyrzucony dobrowolnie poza nawias życia, który czeka na to, komu może być potrzebny. Symbol o zamazanych konturach.

Zdaje się, że jego rola miała polegać na sztucznym pogłębianiu filmu scenicznego, który tą drogą chciałby sobie wywalczyć pozory perspektywy ideowej.

Pretensja zgola niewczesna. Właśnie najsłabszym punktem „Ludzi w hotelu” są tanie wycieczki w dziedzinę demagogii socjalnej (wyzysk służby hotelowej, źródła prostytucji itp.). Środek ciężkości sztuki spoczywa nie w jej treści, aż nadto banalnej, ale w technice inscenizacyjnej. Sztuka w czytaniu napewno sprawia wrażenie literackiej ramoty — na scenie olśniewa, jak kalejdoskop.

Reżyserja wydobyła z niej wszystkie możliwości sceny obrotowej, z powodzeniem podrabiając film mówiony. Mamy więc do czynienia z pewnego rodzaju falsyfikatem. Wszystko może być zastąpione.

Z aktorów na czoło wysunął się Karbowski, w roli wyzywającego się bez reszty szarego człowieka, który wie, że ma umrzeć. Romanówna wypukliła doskonale naiwny cynizm stenotypistki-kokotki. Grabowski sprawił miłą niespodziankę: pokazał, że umie być powściągliwy. Mila Kamińska w roli nieobliczalnej tancerki rosyjskiej niezupełnie czuła się „u siebie”. Niektóre sceny, np. Samborskiego z Romanówną w pokoju hotelowym, raziły plugawą brawurą.

S. P. O.

Z KSIĄŻEK

Kazimiera Alberti: „Ghetto potępione” — powieść. Instytut Wydawniczy „Renaissance”.

Ghetto, jako motyw literacki, nie jest nowością w literaturze polskiej. Nasi prozatorzy i poeci XIX wieku (Orzeszkowa, Gomulicki) szukali w niej przedewszystkiem strony biblijnego patosu (Meir Ezofowicz, El mole rachmim). Było to zawsze ghetto, widziane zzewnątrz oczami marzycieli innej rasy, zasugerowanych egzotykiem powierzchownie tylko znanego środowiska.

„Ghetto potępione” Kazimierzy Alberti pokazane jest od wewnątrz, od środka, wywrócone na nice, obrzydliwe, jak każde wnętrze. Oglądamy je oczami żydówki, Róży Grünszpann, która, dzieckiem wyrwana z ghetta, wraca do niego, jako pełny człowiek, aby ulżyć jego niedoli.

Dzięki szczęśliwemu wyborowi takiego, a nie innego punktu obserwacyjnego, udało się autorce zachować stanowisko emocjonalno-epickie i uniknąć mdłych roztkliwiań się i lżawego liryzmu. Powieść składa się z dwóch wątków. Jeden — to życie ghetta, drugi — to losy Róży Grünszpann, potraktowane nierównomiernie pod względem artystycznym, zlepione raczej mechanicznie, niezrośnięte w jedną organiczną całość.

W odmalowaniu ghetta znać sumienne zbadanie terenu, drobiazgowość studja nad środowiskiem, jego obyczajami, przesądami, wierzeniami. Drogą metody naturalistycznej osiąga autorka rezultat zgola niespodziewany: z obrazu brutalnego, jaskrawego, odpychającego wydobywa patos nędzy, brudu i ciemnoty. Jest to jej własny, samodzielny czyn twórczy, pozycja, zdobyta w literaturze.

O Kazimierze Alberti możnaby od dziś powiedzieć: to autorka „Ghetta potępionego” — gdyby nie fabuła, poprowadzona w tempie i charakterze taśmy filmowej po linii najmniejszego oporu. Zemściły się na autorce poważne niedociągnięcia kultury literackiej, pogoń za sensacją, zbyt pochopne uleganie pokusie poczytności. Czyżby lękała się zdecydować na powieść wyłącznie i czysto środowiskową? Czy nie starczyło jej sił, żeby swoją bohaterkę uczynić zajmującą samą przez się, i dlatego starała się wydobyć ją z tła reflektorami nieczytylnych przeżyć?

Potężnej i fatalnej statyce „ghetta“, które zawsze jest sobą, które nie zmieniło się od wieków, mimowolnie przeciwstawiła słabutką dynamikę naiwnej psychologii i erotycznych przygód, jakby wyciętych z tuzinkowego romansu. Styl w obrazach ghetta jędrny, mięsisty, zwarty, z przewagą muskulatury nad nerwami, w naracji i dialogach „wyższych sfer“ grzeszy pospolitością i zaniedbaniami, czasem nawet błędami językowymi. Ale ponad te grzechy niedojrzałości, które usunąć może łatwo praca nad sobą i pogłębienie kultury literackiej, wybija się istota książki: krwista realistyczna indywidualność twórcza o zacięciu Zapolskiej.

S. P. O.

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

ZNÓW REKORD KOBIECY.

Znana lotniczka francuska, panna Maryse Bastié, pobila świeżo rekord długości lotu w prostej linii, lecąc z Le Bourget do Niższego Nowogrodu, 2900 kilometrów.

W KAŻDYM RAZIE BARDZO ŁADNA.

Jak wiadomo, zpośród piękności krajowych wybierana zostaje w Paryżu Miss Europa, później zaś Stany Zjednoczone dokonują wyboru najpiękniejszej z pomiędzy premjowanych z różnych krajów wszystkich części świata. W tym roku palmę na konkursie, odbytym w Galveston, otrzymała Miss Belgja, panna Milliotte Simonin. Ona to nosić będzie w r. 1931 tytuł Miss Universum.



Miss Universum.



Luczniczka.

ŻEBY NIE ZAWIODŁO OKO I RĘKA

W lipcu i sierpniu odbędą się we Lwowie międzynarodowe zawody łucznicze, wraz z kongresem łucznym, poraz pierwszy organizowanym w Polsce przez związek łuczniczy. Członkowie i członkinie odbywają już ćwiczenia do zawodów.

DLA ROZPOCZYNAJĄCYCH NOWE STUDJA.

Celem niesienia koleżeńskej pomocy osobom, rozpoczynającym studia wyższe, uruchomiony został przy Instytucie Szerzenia Wiedzy Przemysłowej w Warszawie Wydział Informacyjny dla abiturjentów szkół średnich i zawodowych.

W zakres działalności Wydziału wchodzi: udzielanie porad przy obiorze dziedziny studjów wyższych; informowanie o formalnościach, obowiązujących przy wstępowaniu na wyższe uczelnie; porady fachowe, dotyczące sposobu studjowania; praktyczna pomoc w pracy naukowej; ułatwienia w korzystaniu z bibliotek wewnętrznych i zewnętrznych; zapoznanie z warunkami egzystencji w stolicy, przy jednoczesnem niesieniu czynnej pomocy (informacje, dotyczące mieszkań, poznanie stolicy i t. d.); informowanie o odroczeniach służby wojskowej; podtrzymywanie kontaktu między osobami, odbywającymi służbę wojskową w szkołach podchorążych rezerwy, a odnośnemi uczelniami; informacje, dotyczące wyższych uczelni zagranicą; udzielanie wszelkich wiadomości aktualnych dla uczącej się młodzieży.

Wydział informacyjny w głębokiem zrozumieniu potrzeb oraz trudności, napotykaných zwłaszcza na progu studjów wyższych, śpieszy z braterską pomocą młodemu pokoleniu akademickiemu i w myśl szczytnego hasła koleżeńskości, gotów jest w każdej chwili służyć radą i opieką.



Cztery najlepsze.

Zgłaszać się należy osobiście lub listownie pod adresem: Akademicki Wydział informacyjny — Warszawa — Marszałkowska 68 m. 11. Tel. 8-15-04. Godziny urzędowania: 12 — 14 i 17 — 20 codziennie, za wyjątkiem niedziel i świąt.

KRÓLOWE GOLFA.

Tegoroczne konkursy golfa w Palm Beach przyniosły zwycięstwo paniom. Pierwsze nagrody otrzymały: amerykanka z Chicago pani Rhinehart i panie: Helena Hicks i Djana Fishwick, Angielki.

CZY ICH OPINIA ZAWAŻY?

Niemiecka Liga Kobiecego pokoju i wolności, która niedawno spowodowała atak hitlerowców na kobiety niemieckie, pragnące zachowania pokoju, nie daje się zastraszyć. Po osławionych demonstracjach Stahlhelmu pod Wrocławiem. Liga wystąpiła z interpelacją do ministra spraw wewnętrznych. W najostrejszych wyrazach, nie wyłączających nazwania wystąpienia Stahlhelmu *promokacją*, członkinie Ligi protestują przeciwko dzisiejszej polityce Niemiec.

CURIE SKŁODOWSKA W GENEWIE.

Curie Skłodowska będzie przewodniczyła Komitetowi Ekspertów naukowych, podczas jego najbliższej sesji w Lidzie Narodów. Tematem obrad Komitetu ma być zagadnienie koordynacji prac naukowych, prowadzonych w państwach, należących do Ligi.

Z UBIEGŁEGO TYGODNIA.

Zwykle w czasie lata następuje odprężenie w polityce, w tym roku jest zupełnie inaczej: na brak sensacji nie można się uskarżać.

Naturalnie, główne zainteresowanie kieruje się w stronę Niemiec. Przez ubiegłe 10 dni codziennie zapytywały i odpowiadały wszystkie druty telegraficzne i telefoniczne całego świata: Przyjmą, nie przyjmą? Francja zgadza się, nie zgadza?

Ledwie przyszła wiadomość, że rząd Laval'a decyduje się na projekt Ameryki, rozeszła się pogłoska, że Niemcy bankrutują naprawdę. Nie zdołali uzyskać pożyczki banków amerykańskich, a samo jedno moratorium ich nie uratuje. Panika finansowa doszła tam do tego punktu, że mówi się o zamknięciu giełdy, dla zapobieżenia katastrofie.

Drugą sensacją europejską jest stanowisko Sowietów, wyjaśnione w wielkiej programowej mowie Stalina. Prostu mówiąc, dyktator republiki bolszewickiej zrobił volte face i oświadczył, że rząd Sowietów postanawia zerwać z dotychczasową podstawą swej polityki wewnętrznej: otoczyć opieką (!) wykształconych specjalistów, nie prześladować ich, jako burżujów; pozwolić na rozwój przedsiębiorstw prywatnych, nie prześladować kapitalizmu, jako takiego, a nawet, o najwyższe dziw! złagodzić kolektywizm, który, jak stwierdził „czerwony car“, był źle wykonywany przez nierozumiejących go kierowników.

Gdyby to wszystko, co zapowiada Stalin, weszło w życie (co jest bardzo wątpliwe), Rosja możeby odetchnęła; ale przy najsprzyjstszym nawet leczeniu, straszliwie rozbity organizm tego państwa potrzebowałby długich lat, aby zagoić rany, zadane dotychczasową gospodarką bolszewicką.

NASZA OKŁADKA.

Okładka w Nr. 29 „Bluszczu“, wykonana według akwareli znakomitego artysty-grafika E. Bartłomiejczyka, przedstawia „Chatę góralską na Podhalu“.

ZAKOPANE — BRISTOL

Adres:

Hotel Bristol, Zakopane. — Tel. 315.

Najtańszy reprezentacyjny hotel-pensjonat. Zaczysne, zdrowotne i malownicze położenie nad potokiem. Idealne warunki wypoczynkowe — pierwszorzędnny komfort.

CENY BARDZO UMIARKOWANE.

580

NASZA MÓWNICA

Oszczędność i gościnność.

Czytałam w „Bluszczu” kilka doskonałych artykułów, nawołujących do połączenia oszczędności z gościnnością, i wiele cennych wskazówek, jak można ugościć grono przyjaciół i miłych znajomych, nie naruszając naszego, tak okrojonego budżetu.

Chcę dorzucić parę myśli o konieczności wprowadzenia oszczędności do przyjęć publicznych. Trzeba przyznać, że nie umiemy oszczędzać wogóle, specjalnie zaś, jeśli chodzi o grosz publiczny, potrafimy nim szafować aż nazbyt hojnie. Nawet w imprezach dobroczynnych, czy społecznych, mających na celu zebranie jaknajwiększej kwoty, z lekkim sercem i szerokim gestem wydajemy za dużo na druki, rozjاذdy, zaproszenia, komunikaty, odezwy, administrację i w rezultacie nieraz dochód zaledwie pokrywa wydatki.

A cóż dopiero, gdy chodzi o przyjęcie jakichś gości, delegatów, czy cudzoziemców! wtedy nasza gościnność głuży wszelkie skrupuły i, w myśl przysłowia: „zastaw się, a postaw się!”, wydajemy stanowczo za dużo, przyjmujemy ponad możność, a tem łatwiej szastamy publicznym groszem, że jesteśmy przekonani o konieczności i użyteczności takich przyjęć, rautów, uczt i biesiad.

Jeśli pomyślimy o ciągłych przyjęciach, urządzanych przez nas przy każdej okazji: czy to dla delegatów, czy dla gości, czy dla przyjezdnych cudzoziemców, jubilatów, zwierzchników, czy członków rządu, dyrekcji i t. d. bez końca, przy każdej sposobności, to doprawdy zdawałoby się, że mamy miliony niepotrzebnie leżących pieniędzy, które możemy wydawać na cele reprezentacyjne.

To przecież nie z własnej kieszeni, to płaci rząd, czy miasto, instytucja, czy komitet. Można się zabawić z szerokim gestem. Płyną więc tysiące, często niepotrzebnie.

Tak, ale równocześnie mamy tysiące głodnych, bezrobotnych, chorych, sierot... opiekunowie społeczni daremnie kołaczą miesiącami o dziesięciozłotowe zapomogi dla ginących z nędzy, setki instytucji społecznych i dobroczynnych wołają o pomoc. Na to niema pieniędzy. Na raut, ucztę, czy przyjęcie, jakos zawsze się znajdują.

„Zastaw się, a postaw się!” *M. Mossoczowa.*

Projekt.

Byłam zawsze zachwycona „Naszą Mównicą”, gdzie kobiety mogły szczerze się wypowiadać i dawno już miałam zamiar podania mojego projektu. Chciałabym go zrealizować jak najprędzej. Po przeczytaniu pierwszej powieści Rodziewiczówny, „Dewajtis”, powzięłam dla niej szacunek i cześć, która przetrwała się w pewnego rodzaju kult. Nieraz moi znajomi i krewni śmieli się ze mnie, że ja układałam swoje życie według powieści Rodziewiczówny i w tem powiedzeniu jest bardzo dużo prawdy. Nie jestem tak zarozumiała, abym mogła myśleć, że stałam się tak użyteczną i hartowną, jak bohaterki Rodziewiczówny; ale muszę przyznać, że wdzięczną jej wiele jasnych chwil, i sporo dobrej a użytecznej roboty społecznej dokonałam po przeczytaniu „Kądzieli”, biorąc sobie za dewizę słowa bohaterki tej powieści: „Niema małych prac, ani obowiązków: są tylko marni ludzie, którzy je źle wypełniają”; drobne te rzeczy spełniam, kładąc w nie całą duszę, a mam tę pewność, że spełniam je dobrze, gdyż widzę już owoce swej pracy.

Jako jedna ze starych panien, tak wyśmiewanych dawniej, chciałabym rzucić projekt, abyśmy my, stare panny w całej Rzeczypospolitej, jako dowód wdzięczności dla Rodziewi-

czówny, złożyły się i ufundowały coś, co jej mogło by zrobić przyjemność w myśl jej ideałów, zato, że ona pierwsza w „Dewajtisie” i „Kądzieli” stworzyła i przedstawiła typ starej panny, nie wyśmianej egoistki i niepotrzebnej nikomu istoty, a nawet zawadzającej próżniaczki, ale kobiety pracowitej, poświęcającej się, wyrzekającej się wszystkiego dla drugich, zasługującej na szacunek, a nie na pośmiewisko.

Rzucam ten luźny projekt, prosząc bardzo o wypowiedzenie się i podanie swoich myśli, w jaki sposób to urzeczywistnić: czy obmyśleć same, czy, po zebraniu choćby niewielkiego funduszu, napisać do Rodziewiczówny, z zapytaniem, co chciałaby, abyśmy zrobiły, i wyrazić jej szczerą i głęboką wdzięczność za to dobro, które nam wszystkim starym pannom zrobiła.

Dziś już niema starych panien w tem obelżywym znaczeniu, więc i te, które były wyśmiane, i te, które mają ułatwioną drogę, zdobędą się na wdzięczność dla autorki, która pierwsza poruszyła tę sprawę.

Zofja Zembrzaska — Lublin.

„Nie pożyczaj” (w odpowiedzi p. Holstorponi).

Zupełnie rozumiem rozgoryczenie Pana. Mieszkając na wsi, pożyczałam odrazu po kilkanaście książek, ze względu na odległe miejsce zamieszkania osób pożyczających.

Rezultat był taki, że ginęło mi po kilka książek, co robiło wielką lukę w bibliotece, psując całe dzieła, gdy naprzykład, z „Ogniem i Mieczem” zginął jeden tom, a z „Potopu” dwa.

Na wzór płatnych czytelników, zaczęłam zapisywać, jaką książkę komu pożyczam i nie dałam innej, póki nie otrzymałam zwrotu pożyczanej. To poskutkowało, choć niezupełnie.

Nie wiem, skąd powstało u ludzi przekonanie, że niezwracanie książek jest rzeczą zupełnie etyczną.

Należałoby wiele osób z tego błędu wyprowadzić. To też nie dziwię się, że jeden z moich znajomych co kilka kartek w książkach swoich przykładł pieczętkę z napisem:

„książkę tę skradziono z biblioteki”

To podobno też pomogło.

Radzę pożyczać, lecz kontrolować. Trochę zawstydzić ludzi, lekceważących cudze dobro, nie zaszkodzi.

M. M. — z Mazowsza

Nic o nas, bez nas.

Nic o nas, bez nas! takie hasło rzucili Amerykanie, gdy przed 150 laty zaczęli wojnę z Anglią, chcąc narzucić im podatki, bez ich wiedzy. Kobiety oddawna przyzwyczaiły się do tego, że cały system i tryb ich życia układał za nie kto inny, bez ich zgody, bez wiadomości nawet. A teraz? Jesteśmy równouprawnionymi obywatelkami i znów często bywa tak samo, jak wpierw, kiedy praw żadnych nie miałyśmy. Obecnie przemija się od czasu do czasu wzmianka w prasie, że gotów już jest projekt reformy prawa małżeńskiego. A więc jedna ze spraw dla nas, kobiet, najważniejszych. Ale czy kto pytał nas o zdanie? Czy w komisji, projekt ten opracowującej, były kobiety? Czy projekt poddany będzie dyskusji publicznej, choćby tak, jak to było z prawem o przerywaniu ciąży? O tem wszystkim jakoś głucho. Wiem, że „Bluszczy” jest czytany przez prawników, niech więc one powiedzą nam łaskawie, jak sprawa stoi, jak ten projekt wygląda? A wtedy trzeba go przedyskutować. Nic o nas, bez nas! Pismo takie, jak nasze, jak „Bluszczy”, powinno mieć pierwszy głos w takiej sprawie i w niem musimy się my, kobiety, wypowiedzieć.

Wanda R.

CZY MIAŁYŚMY KIEDY ZA WIELE

Pytanie to nasuwa mi się zawsze, gdy w swoim, lub cudzym domu spojrzę dokoła oczami bezstronnymi, pochwycę przejawy drobnego, systematycznego, chociaż bezmyślnie uprawianego, marnotrawstwa.

W tych maleńkich napozór przejawach, spotykanych na każdym kroku, jest coś, co trudno określić. Pogarda dla rzeczy doczesnych, dziecinna wiara w worek bez dna, który się nigdy nie wyczerpie, szeroki gest, czy poprostu ignorancja, leniwe niedbalstwo, podstawowe bagatelizowanie drobiazgów.

Wobec dzwonów, które biją dzisiaj donośnie na trwogę, mobilizując całe społeczeństwo pod sztandarem oszczędności, w obliczu nielitościwych nożyc, co obcinają uposażenie, a z niem i budżety — kwestja stworzenia sobie dodatkowych źródeł dochodu i kwestja rozumnej oszczędności zajmują miejsce czołowe.

W imię tych hasel, przez łamy pism codziennych i tygodników przewijają się coraz częściej najaktualniejsze dzisiaj tematy.

Jak dorabiać? oto zagadnienie chwili. Ważne, to prawda, zbawienne, jeżeli znajdziemy życiową, realną odpowiedź na to pytanie i jeżeli *dorobimy!*

Ale o ileż ważniejsze, bo uchwytne i dostępne dla każdego jest, aby, nim zacznie *dorabiać*, umiał zużytkować wydajnie to, co mu przypada w udziale; umiał stosować w życiu praktycznie, nie *teoretycznie*, szczytną i zbawienną ideę oszczędności.

A więc co? budżet?

Przeciętny budżet — to chochoł na słomianych nogach, który przewraca się przy lada podmuchu. Dla wielu z nas poprostu modne pojęcie o fascynującym brzmieniu. „Mój budżet pozwala“, „w moim budżecie nie mieści się“... oto najmielsze wyrażenia, jakimi wojujemy dzisiaj wszyscy.

Niezależnie jednak od bezustannego hołdu, składanego w słowach tej busoli, regulującej nasze codzienne bytowanie, pozostaje ona dla nas w większości wypadków martwą literą.

Bo budżet na papierze, a budżet wcielony w życie — to nie bracia rodzeni, a zaledwie przyrodni, przytem żyjący ze sobą w wiecznej niezgodzie.

Więc pierwszym środkiem zaradczym *budżet nie malowany, ale realny*, nie teoretyczny, ale wprowadzony w życie z twardą nieustępliwością pionierów lepszej doli. A potem — a właściwie równocześnie, jako nierozdzielna całość, jako jedyny środek *mykonawczy* — sprężysta organizacja, ogarniająca nie tylko ważkość spraw, zakrojonych na większą miarę, ale właśnie drobiazgów. Bo tak, jak grosze składają się na złotówki, a złotówki na dziesiątki, setki, tysiące, tak poszanowanie i docenienie drobiazgów — to droga do wprowadzenia w czyn kampanji oszczędnościowej.

Pani nie ma czasu wglądać w drobiazgi. Zresztą,



575

cóż można zaoszczędzić na tej drodze? Więć w przeciągu miesiąca uzbiera się pokaźna paka suchych kromek chleba; po kilku dniach bezkrólewia spiżarnianego wyrzuci się jakiś zabłąkany kotlet z przedwczorajszego obiadu; wyleje do zlewu szklankę skwaśnialego na dnie garnczka mleka, czy zepsute białka; przy podstawowych porządkach, na półkach szafki kuchennej, kredensu zmiecie się przygarstek rozsypanej kaszki drobnej, czy bułki tartej; idąc korytarzem, nie zgasi za sobą światła elektrycznego, bo *przecież ciągle ktoś tamtędy przechodzi*; nie zaceruje maleńkiej dziurki w obrusie, serwecie, ręczniku; nie rozwiesi porządnie przemoczonego deszczem ubrania; nie schowa w porę zimowych rzeczy, pozostawiając je na pastwę moli; nie pomyśli o odprasowaniu w godzinach gotowania obiadu sukni, czy paru sztuk przepranej bielizny; pozostawi niezawiązany słoik z konfiturami, marynatą; nie poszuka źródeł prawdziwie taniego i dobrego zakupu, biorąc, co się ma bliżej pod ręką.

Przykładów takich starczyłoby, przy dobrej woli, na zapełnienie jeżeli nie całego numeru „Bluszczy“, to conajmniej całego działu praktycznego; ale szkoda na cytowanie ich czasu i miejsca. Wystarczy zrobić uczciwy rachunek sumienia, przejść myślą jeden krótki tydzień podjazdowej gospodarki domowej i podsumować.

Odpowiedzą Panie, że suma, jaka z tej kalkulacji wypadnie, jest warta śmiechu, bo coś znaczą jakieś 3, 4, czy 5 złotych!

Ale weźmy za przeciętną tylko 3 złote tygodniowo. Ręczę, że prawie niema domu, w którym w ten, czy inny sposób sumka taka nie dałaby się zaoszczędzić. Mamy więc już miesięcznie 12 zł., a w ciągu jednego roku zł. 144. A teraz proszę pomnożyć 144 zł. przez ilość średnio uposażonych rodzin, żyjących na terenie Polski.

Nie będą to już puste słowa ta suma, która z mnożenia wypadnie — będzie to potęga! Bo, licząc skromnie, licząc tylko 100.000 rodzin polskich, prowadzących skrzętną gospodarkę, oszczędzających nie na *odmarowaniu* sobie rzeczy pierwszej potrzeby, a poprostu wystrzegających się bezmyślnego marnotrawstwa, osiągniemy rocznie sumę

14.400.000 zł.,

które zaważą poważnie na szali budżetu państwowego i budżetów prywatnych.

Dobrze pojęta i dobrze wprowadzona w czyn oszczędność nie polega bynajmniej na prywacjach, na rezygowaniu z potrzeb kulturalnych, na odejmowaniu zarobków całej rzeszy ludzi, pracujących w handlu, przemyśle, rękodzielnictwie, przez obniżanie skali zużycia, a właśnie na *wydażnym spotrzebowaniu, na oszczędzaniu przez niemarnowanie.*

Od tego powinniśmy wszystkie zacząć, wprowadzając reformy, do których zmuszają nas zmniejszone zarobki.

Wystrzegać się paniki, zniechęcenia, rozgoryczenia; nie wychodzić naprzeciw nowym, a trudnym do opanowania warunkom, z groźbą, która nikogo nie przerazi, z groźbą śmieszną, bo dającą w praktyce wyniki ujemne tylko dla nas samych. W obliczu znizonych uposażeń dają się słyszeć takie właśnie groźby, pobudzające audytorjum do śmiechu — panowie grożą nawet, że *przestaną się golić!*

Sądzę, że daleko treściwsze wyniki dałoby porządne obchodzenie się z ubraniem; niezostawianie np. mydła po umyciu w galaretowatej papce, wypełniającej mydelniczkę; zmniejszenie ilości wypalanych dziennie (odruchowo) papierosów, wyzbycie się kosztownych *ponad stan* potrzeb i przyzwyczajęń.

Tutaj otwiera się znów droga oszczędnościowa nie do pogardzenia, bo przyszła chwila, kiedy tych pozornie *niezbędnych* potrzeb i *przyzwyczajęń*, które stały się jakoby drugą naturą, trzeba się wyzbyć. Budżety nasze wytrzymać ich dzisiaj nie mogą.

Obejść się bez czegoś, do czego przywykliśmy przez szereg lat — to trudna sprawa; ale niema mowy o tem, abyśmy *nie mogli* się obejść. Szczególniej, jeżeli uprzytomnimy sobie, że kurczliwość budżetów uderza nietylko w urodę życia, ale w większości wypadków w jego najistotniejsze podstawy.

W ciężkich chwilach zwykło budzić się w społeczeństwie naszym, obce nam na codzień, poczucie solidarności. Nigdy nie było ono tak pożądane, jak w chwili obecnej, kiedy doprawdy wobec minimum środków życiowych, jakimi zadowolnić się muszą rodziny pracującej inteligencji, zbytek i rozrzutność, gdyby nawet chodziły w parze ze skalą czyichś dochodów, stają się poprostu grzechem śmiertelnym.

Im solidarniej poddamy się wszyscy bez wyjątku dyscyplinie rozumnej oszczędności, starając się przytem wcielić ją w czyn bez użycia skalpela, nie gwałtownymi, nieomal że śmiertelnymi środkami, a rozumną zapobiegliwością — tem prędzej skończy się koszmar kryzysu, który spędza nam sen z powiek.

Jeżeli nigdy dotąd nie miałyśmy za *wiele*, teraz naogół mamy za *mało* w zestawieniu z naszymi przyzwyczajeniami i metodami życiowymi, więc póki czas (a czas najwyższy!), zabierzmy się do zmiany systemu od podstaw.

Wanda Dobrzańska.

O WYPADANIU WŁOSÓW NA TLE ŁOJOTOKU

Jedną z najczęściej spotykanych wad cery i owłosionej skóry głowy jest tak zwany łojotok. Nie jest to cierpienie samej tylko skóry, albowiem wywołane bywa całym szeregiem niedomagań, z których schorzenia gruczołów dokrewnych zajmują miejsce naczelne. Objawy zaś łojotoku polegają nietylko na nienormalnej pracy gruczołów skórnych, a mianowicie łojowych i potowych, ale i na nienormalnem rogowaceniu naskórka.

Łojotok może być *objaworowym i samoistnym*. Zjawia się on wówczas zazwyczaj na powierzchniach większych, jako cierpienie systemowe, i trwa dość długo.

Gdy łojotok ukazuje się, jako zjawisko objawowe, występuje to cierpienie naskutek innych niedomagań widocznych dla oka, czy też mniej lub więcej ukrytych. Zazwyczaj zdarza się to w chwili dojrzewania ustroju.

Początkowe objawy dają się zauważyć już w 12-ym roku życia. Wówczas skóra buzi dziecka staje się tłusta, a i włosy, przez kilka dni niemyte, robią wrażenie jakby napomadowanych. Poza tem zjawiać się mogą pryszcze, wągry i inne objawy, towarzyszące łojotokowi. Zazwyczaj łojotok występuje u wszystkich dzieci danej rodziny, jako przebiegająca cecha konstytucjonalna.

Jak więc możemy wywnioskować, gruczoły płciowe odgrywają tu wybitną rolę. Bo i dla czegożby właśnie cierpienie to miało występować w okresie dojrzewania? Jednakże, pomimo wspomnianych gruczołów, wybitny wpływ na zjawienie się łojotoku wywierają czynności i wszystkich innych narządów naszego organizmu: jak np. gruczołów chłonnych, przewodu pokarmowego, wątroby, nerek, narządów trawienia i tarczycy, zaburzenia w krążeniu krwi, szczególnie na tle chwiejności układu wegetacyjnego i t. p. Z zewnętrznych wpływów dużą rolę odgrywa brak dbałości o czystość skóry i włosów, co znacznie pogarsza stan ogólny i wzmacnia siłę łojotoku i powstałych na jego tle cierpień.

Prof. Sabouraud widzi przyczynę łojotoku w specjalnym drobnoustroju, rozwijającym się bardzo chętnie na podłożu skóry, upośledzonej przez niedomaganie innych organów wewnętrznych, o których wyżej wspominałam.

Ulubionem umiejscowieniem łojotoku jest twarz, a zwłaszcza nos, z przylegającymi częściami policzków, następnie czoło, wzgórek łonowy, środkowa linja brzucha, okolica pępka, przestrzeń międzysutkowa, wreszcie owłosiona skóra głowy. Zewnętrznym objawem łojotoku jest tłustość skóry, która wygląda, jakby była posmarowana oliwą, przyczem pory skóry są znacznie rozszerzone — „otwarte”; przy naciśnięciu skóry wydzielają się z porów jakby małe niteczki.

Na owłosionej skórze głowy, jako objaw łojotoku, może być, poza pewną jej tłustością, zjawienie się łuseczek, co w języku potocznym nazywa się łupieżem. Należy zauważyć, że takie łuseczki, jednakże nie tak często, mogą zjawiać się i na nieowłosionej skórze; wtedy łupież miewa kształt więcej owalnych łuseczek. Kolor łupieżu bywa różny. Zazwyczaj tarczki łupieżu są koloru szarawego i pokrywają się łusieczkami otrębiastymi o kolorze białawym.

Obecność łupieżu zazwyczaj powoduje pewne



swędzenie, lub też pieczenie skóry głowy, co najsilniej daje się zauważyć rano przed czesaniem. Łupież wzmaga się w swej intensywności przeważnie na wiosnę i na jesieni, jakkolwiek dość często widzimy go w pewnym nasileniu także latem i zimą. Nasileniu łupieżu sprzyja wilgoć. Łupież głowy, poza swą postać suchą, może być i tłusty. Wówczas łuski są grubsze, bardziej żółte, miękkie, a skóra pod nimi może być zaczerwieniona. U dzieci już w wieku dojrzewania można się spotkać z tego rodzaju łupieżem. Tłuste tarczki łupieżu mogą nie tylko zajmować owłosioną część głowy, ale i przechodzić na skórę nieowłosioną, wówczas to mają kształt festonów.

Jak jeden, tak i drugi rodzaj łupieżu ma duży wpływ na wypadanie włosów. Łupież tak zwany zwykły, który nie ma nic wspólnego z łojotokiem, jakkolwiek może zjawiać się jednocześnie i przez to maskować pochodzenie łojotokowe, wywołuje wypadanie włosów znacznie później, niż łupież łojotokowy. Sprawa wypadania włosów jest bardzo ważną, to też nie należy nigdy zaniedbywać łupieżu, nawet w samych jego początkach.

Dość często się zdarza, że łupież znika nawet i nieleczone, i dopiero wówczas zaczyna się wypadanie włosów; to też laicy nie wiążą łupieżu z wypadaniem włosów. Sprawa jednak przedstawia się w ten sposób, że w początkach cierpienia, kiedy nie posunęło się ono włąb pochewek włosowych, nie ma jeszcze porażenia brodawek włosowych. Z czasem, gdy kończy się proces na powierzchni skóry, pacjentki są zadowolone, sądząc, że wogóle sprawa łojotoku i łupieżu przyjęła obrót pomyślny, i dziwią się, że dopiero po długim okresie czasu następuje wypadanie włosów. A tymczasem to silne ich wypadanie jest dalszym ciągiem cierpienia skóry głowy.

Ze zjawisk, towarzyszących łojotokowi skóry głowy, poza wypadaniem włosów należy zwrócić uwagę i na pocenie się skóry głowy. Wyłysienie łojotokowe zaczyna się w przedniej części głowy, powodując powstawanie tak zwanego „wysokiego czoła”. Prawie równocześnie następuje wypadanie włosów na granicy części czołowej i skroniowej, następnie rozpoczyna się wypadanie na granicy potylicowej i ciemieniowej, tworząc tak zwana „tonsura”. Łysina następnie posuwa się i łyse place łączą się ze sobą. Najpóźniej łysieje pas półkolisty i niekiedy część włosów w środkowej części około czoła.

Przyczyny wyłysienia łojotokowego należy szukać w pasożytach. Malassez pierwszy znalazł w łupieżu zarodniki. Następnie najwięksi znawcy skóry i włosów, profesorowie Unna, Sabouraud i Hodar, potwierdzili teorię poprzedniego uczonego. Według prof. Sabouraud'a, bakterja (zarazek) łojotoku, przedostając się do pochewek włosowych, powoduje łojotok, a także przerost gruczołów łojowych, jady zaś tego zarazka zabijają brodawki włosowe, a tem samym powodują wypadanie włosów.

Z przyczyn zewnętrznych, sprzyjających łojotokowi, oprócz wspomnianego wyżej zaniedbania czystości głowy, należy mieć na uwadze brak dobrego przewietrzenia skóry głowy przez nieodpowiednie jej okrywanie, czy kapeluszem, czy też nawet samymi włosami, których nadmierna ilość utrudnia oddychanie skóry. Z wewnętrznych zaś przyczyn duży wpływ wywiera nieodpowiednie odżywianie, zatrucie organizmu różnymi jadami, jak np. alkohol, i wreszcie różnego rodzaju niedomagania wewnętrzne; o których

już mówiłam wyżej, a także różne wycieńczające choroby, jak np. suchoty, syfisy i t. p.

Na tem kończę dzisiejszą pogadankę. W następnej omówię leczenie cierpienia włosów, mających za przyczynę łojotok.

Dr. med. Zofja Rostkowska.

OGÓLNE ZASADY KONSERWOWANIA JARZYN

Ostatnie badania wykazały, że jarzyny i owoce, prócz węglowodanów i wielkiej ilości niezbędnych soli mineralnych, zawierają cenne witaminy, tak konieczne przy asymilowaniu wartości odżywczych.

Jarzyny, umiejętnie konserwowane, zachowują dostateczną dla organizmu ludzkiego ilość zarówno soli odżywczych, jak i witamin.

Aby konserwa jarzynowa odpowiadała naszym wymaganiom, musimy, sterylizując, zachować wskazówki napozór drobne, a jednak bardzo ważne.

Główne zasady sterylizacji jarzyn są następujące:

Produkt powinien być świeży, zebrany w odpowiedniej porze (szkodliwe są upały, czas przed burzą). Jarzyny, użyte na konserwę, nie powinny być wyrosnięte ani wśród zbytnej suszy, ani też zbytnejgo zimna, kiedy wegetacja trwa za długo.

Szybkie wykonanie pracy. Przy pracach przedwstępnych wystrzegać się zbyt ciepłych ubikacyj. Przed zaczęciem pracy pamiętać o wymyciu gumek, pokrywek, słoje, wodą z sodą oczyszczoną. Słoje dezynfekować spirytusem benzoosowym, lub wyjałowiać gorącym powietrzem. Do zalewania konserw przygotować wodę przegotowaną, odstą i scedzoną, z solą lub cukrem (1 łyżeczka soli lub cukru na 1 litr wody). Przeznaczyć do sterylizacji tylko tyle jarzyn, ile w jednym dniu można zakonserwować. Nie odkładać rozpoczętej pracy do następnego dnia, np.: wyłuskanego grochu, lub nałożonych do sterylizacji słoje, bo wtedy praca napewno nie wyda dodatnich rezultatów.

Pamiętać o dokładnem myciu i oczyszczaniu jarzyn. Z ziemią i kurzem dostają się do słoje bakterje kwasu masłowego. Do zaparzania jarzyn przygotować odpowiednią ilość wody. Jednej i tej samej wody nie używać kilka razy. Zaparzanie ścina białko, utrwala konserwę i jej kolor, zabija drobnoustroje, rozmięcza tkankę, przez co więcej produktu wchodzi do słoja.

Mieć odpowiedni zapas wody zimnej, by natychmiast po sparzeniu ochłodzić jarzynę. Natychmiastowe wyziębienie, tj. hartowanie, zapobiega wytworzeniu się procesu kwaśnienia, zmniejsza objętość warzywa, przywraca kolor naturalny.

Lepiej sterylizować kilka minut dłużej i przy wyższej temperaturze, niż podaje przepis, jak za krótko i w niedostatecznej ciepłocie. Jarzyny, przeznaczone do sterylizacji, sortować podług wielkości. Nie sterylizować np. razem grubych i cienkich szparagów. Grubsze potrzebują dłuższego czasu; to samo stosuje się do zaparzania. Nie sterylizować jarzyn zbyt dojrzałych, łykowatych, o częściach zdrewniałych. Najsmaczniejsze konserwy są z jarzyn w stadium średniej dojrzałości, kiedy mają subtelny smak i najwięcej części wartościowych.

Steryliżując, umieszczać w jednym aparacie słoje mniej więcej jednej wielkości.

Większa zawartość słoja wolniej się nagrzewa, to też mniejsze sterylizuje się krócej, większe — dłużej. Konserwując jarzyny, wodę w garnku doprowadzić jaknajprędzej do stopnia wrzenia. Gdy termometr dojdzie do 100 st. C., odsunąć kocioł ze zbytńiego ognia, uważać jednak, by temperatura nie spadała przez oznaczony przeciąg czasu. Po ukończonej sterylizacji, nie zostawiać słoja w gorącej wodzie, przez co nastąpiłby proces kwaśnienia, jarzyny straciłyby swą jędrność, kolor, stałyby się zbyt miękkie. Wyjęty z garnka aparat ze słojami okryć ściereką, a po chwilowym przestudzeniu wynieść w miejsce chłodne, uważając, by słoje prędko wystygły. Sprężyny usunąć po zupełnem wystudzeniu.

Po 24 — 36 — 48 godzinach, zależnie od temperatury i od gatunku jarzyny, sterylizuje się konserwę powtórnie. Sterylizacja powtórna zabija przetrwalniki, wykielkowane po pierwszej sterylizacji. Po ukończeniu powtórnej sterylizacji przechowywać słoje w miejscu suchem, ciemnem, przewiewnem, zabezpieczonem od bezpośrednich promieni słońca i od mrozu. Sucha piwnica jest najlepszem pomieszczeniem.

Gdy przy sterylizacji jarzyn zachowamy te ogólne wskazówki, to najdelikatniejsze wiosenne i letnie jarzyny podamy zimą na stół niezmienione, zarówno pod względem smaku, jak i wyglądu estetycznego.

Co do systemu słoja, to już sprawa drugorzędna. Nawet w zwykłych fiaskach, szczelnie zamkniętych korkiem, obwiązanych sznurkiem (a po sterylizacji zalakowanych) — udadzą się konserwy z jarzyn, gdy z całą pedanterją i zrozumieniem zastosujemy główne zasady sterylizacji.

Konserwa, nieumiejętnie przyrządzona, zepsuje się nawet w najlepszym i najdroższym słoju.

STERYLIZACJA SZPARAGÓW.

Szparag — skład chemiczny: Białka 1,5 proc.; tłuszczu 0,2 proc.; węglowodanów 2,2 proc.; wody 96,1 proc. W 100 gramach kaloryj odżywczych 17,9 proc.

Surowy szparag zawiera wystarczająco witamin Antirachitycznych E D., jak również Antiberiberi B. A. F., b. dużo zaś Antiszkorbutowych C. Po ugotowaniu Antirachityczne i Antiberiberi przechodzą częściowo w skład wody, zaś Antiszkorbutowe pozostają niezmienione.

Szparagi należy konserwować w czasie pełnego zbioru; w sezonie środkowym są na konserwę najodpowiedniejsze i najtańsze.

Już w starożytności Grecy i Rzymianie cenili szparagi, jako roślinę oczyszczającą krew, a w czasach nowszych, w r. 1805, uczeni odkryli w szparagach asparaginę. W miejscach kuracyjnych leczą niemi wodną puchlinę i cierpienia serca, poza sezonem wprowadzają szparagi z zagranicy i podają je chorym. Znane jest ich działanie moczopędne.

W Rzymie, w czasach starożytnych najwięcej ceniono szparagi z wyspy Nizidy i z Rawenny. W naszych uprawach znamy szparagi arzantejskie i brunszwickie.

Obydwa gatunki są znakomite i nadają się do sterylizacji.

Szparagi konserwować musimy zupełnie świeże, wprost z gruntu. Mieszkając na wsi, przerabiamy je w mniejszej ilości, lecz stale, od razu świeże, a wtedy szparagi nawet po latach się nie zmieniają.

Świeżo wyjęte z gruntu z główkami białymi, czy też lekko fiołkowymi (arzantejskie) umyć jaknajdo-

kładniej w zimnej wodzie. Z ziemią wiele drobnoustrojów przenika w szczeliny szparagów. Po dokładnem umyciu, włożyć szparagi do dużego naczynia (np. długiej miski, wanienki), zalać czystą, zimną wodą na 4—6 godzin, zmieniając wodę co pół godziny. Pod wodą bieżącą (pod wodociągiem) wystarczy moczyć 3 godziny. Przez moczenie nieobrane szparagi tracą części amonjakalne, zawarte w jarzynie, wskutek obfitego nawożenia — ginie także smak nawozu i nieprzyjemny zapach.

Po wymoczeniu następuje jaknajszybsze obieranie. Usuwa się wszystkie części zdrewniałe, uważając, by nie zbierać warstwy miąższu. Pracę wykonywać trzeba w miejscu chłodnem. Obrane szparagi sortuje się na grubsze i cieńsze i wrzuca do zimnej wody. Pośpiech jest konieczny, aby obrane szparagi nie zostały w wodzie wylugowane ze swych soli odżywczych (kwas fosforowy i t. d.).

Steryliżując w słojach 1-litrowych wąskich, długich, przycinamy szparagi na 18 cm. Najgrubsze szparagi, przycięte dołem, układamy na misce, zalewamy wrzącą wodą i trzymamy je w niej 5 minut. Po 5 minutach zlewamy wodę i zabieg poprzedni powtarzamy jeszcze 2 razy, układając szparagi w misce w ten sposób, by w wodzie zanurzały się tylko części niższe, nie główki. Szparagi cieńsze, średnie, zalewamy pierwszy raz na 5 minut, drugi raz na 4 minuty, a trzeci raz na 3 minuty, by zanadto nie zmiękły. Natychmiast po ostatnim sparzeniu (zarówno grubszych, jak i średnich) i odlaniu wrzącej wody, zanurzyć szparagi w dużej ilości wody zimnej, zmieniać ją tak często i długo, aż woda będzie zimna i szparagi zupełnie wyziębną.

Obsączone szparagi układać według grubości i sortować do słoja, uważając, by nie łamać główek. Po długiego doświadczenia, najlepiej układać główkami na dół.

Na ułożone szparagi nalać wodę przegotowaną, oziębioną, scedzoną, dodając na 1 litr wody 1 łyżeczkę soli. W słoju pozostawia się próżnię na 2—3 palce, natychmiast zakłada się suche gumki, pokrywki, umieszcza pod sprężyną i aparat wkłada do garnka z zimną wodą.

Woda musi być ponad słojami, aby zawartość w słojach ogrzewała się równomiernie. Jaknajszybciej doprowadzić wodę do temperatury wrzenia (100° C.). W tej temperaturze pozostawiamy słoje przez 60 minut. Po skończonej sterylizacji, wyjąć słoje z aparatem z garnka i wynieść w miejsce chłodne, zabezpieczając od przeciągu. Po 24-ech godzinach sterylizujemy po raz wtóry w temperaturze 100° C. przez 30 minut.

W ten sposób sterylizowane szparagi są dość jędrne, zachowują swój delikatny smak i subtelny zapach. Biorąc do użytku, odlać wodę do rondla, zagrzzać silnie; jeżeli jest za mała ilość, dodać świeżej gorącej wody, osolić do smaku i przed wydaniem wrzucić szparagi dla silnego zagrzania. Błędem jest zagrzewanie szparagów wraz z zimnym smakiem.

CIĘSZE, POŁAMANE SZPARAGI NA ZUPY I OMLETY.

Cieńsze, połamane szparagi, przyrządza się, jak poprzednio, do zapraw na zupy, omlety, do podania w sosie holenderskim, lub na sałatki majonézowe.

Jeszcze raz zwracam uwagę na świeżość produktu: jeden starszy szparag, przed kilku dniami wycięty, może zepsuć całą zawartość słoja.

(d. c. n.)

Zofja Skąpska.

ZIEMIA INSPEKTOWA

Ziemia inspektowa, używana w roku bieżącym, zadanie swoje już spełniła. Częściowo już wybrana została ze skrzyń, częściowo teraz jeszcze będzie z nich wyrzucana na kupy, żeby wypocząć i nabrać „sił“ do pracy w latach następnych.

Ziemię, używaną w sezonie ubiegłym, należy składać na niezbyt wielkie kupy i wybierać ją z inspektu wraz z leżącą pod tą ziemią warstwą nawozu. Bierzemy go tem więcej, im więcej ziemi chcemy sobie przysporzyć. Kupy takie powinny być układane nie w dołach, lecz na powierzchni ziemi, w miejscu przewiewnem, słonecznem, żeby wszystkie składniki szybko uległy próchnieniu, a nie zakwasały się wskutek nadmiaru wilgoci i braku powietrza. Kupy takie można polewać gnojówką, w miarę potrzeby dodawać do nich gliny, krowieńca i pomiotu ptasiego, żeby ziemia stawała się żyzniejsza i utrzymywała lepiej wilgoć. Do ziemi lepiącej się, mało przepuszczalnej, zaleca się dodatek ziarnistego piasku rzecznoego.

Tak zmieszane składniki pozostawiamy w spokoju na zimę. Gdy roztają na wiosnę, rozpoczyna się ich rozkład, który posuwać się będzie tem szybciej i równomierniej, im częściej kupa ziemi będzie przekopywana, i to w ten sposób, żeby warstwy wewnętrzne wydobywać na powierzchnię. Przy tej czynności można z korzyścią dodać wapna nielasowanego.

Dojrzewanie ziemi można poznać po tem, że wszystkie części organiczne tworzą jednostajną, prawie czarną masę, która na dłoni rozpada się na gruzelki. Zupełny rozkład następuje zwykle dopiero po upływie 2-3 lat, ale rośliny ogórkowe — a więc ogórki, dynie, melony, arbuzy — lepiej się udają w ziemi niezupełnie przetrawionej, bo pomiędzy cząsteczkami grubszy łatwiej przenikają korzenie i więcej powietrza dostaje się do warstw głębszych. Dlatego do uprawy tych roślin bierzemy ziemię niezupełnie przetrawioną i nieodsiewaną.

Inne wymagania mają rozsady roślin kapustnych. Te udają się tylko w ziemi, w której już nie zachodzą żadne procesy fermentacyjne, a więc w ziemi, zupełnie wolnej od nierozłożonych resztek roślinnych. To też dla rozsady wybieramy ziemię zupełnie dojrzałą, dobrze odleżałą i odsianą. Rozsady kapust łatwo podlegają chorobie pochodzenia grzybkowego, t. zw. czarnej nóżce (*Plasmodiophora brassicae*), której zarodniki przechowują się w ziemi. Dlatego przy hodowli rozsady (niestudnie z niemiecka nazywanych powszechnie flancami) należy unikać ziemi z inspektów, w których siewki chorowały na „czarną nóżkę“ — a przynajmniej trzeba dać takiej ziemi ze dwa lata odleżeć się na słońcu i mrozie i trzeba ją przerobić kilkakrotnie, oraz zdezynfekować przez dodatek wapna niegaszonego. Obecność resztek roślinnych nierozłożonych sprzyja rozwojowi choroby, dlatego więc dla rozsady zaleca się wybierać ziemię dobrze dojrzałą i odsianą.

W drugim roku dojrzewania ziemi inspektowej żadnych nowych składników wprowadzać już do niej nie należy.

Przed zamrażaniem zapasu powinniśmy obliczyć, ile w przybliżeniu będzie tej ziemi potrzeba do wczesnych inspektów, i odpowiednią co do ilości kupę nakryć liśćmi lub słomą, żeby ją zabezpieczyć przed mrozami. Sztuczne ciepło, zwłaszcza we wczesnych inspektach, kosztuje drogo, więc nie można go marnować na rozmrażanie brył ziemi. Pozatem ziemia

zamrożnięta po roztajaniu jest bardzo mokra, więc wypadłoby dłuższy czas czekać, aż pod wpływem ciepła inspektowego dostatecznie przeschnie.

Postępując co rok w sposób opisany, będziemy mieli spore zapasy ziemi inspektowej żyznej, dobrze przetrawionej i wolnej od zarodników chorób i szkodników, które wyrządzają wielkie spustoszenia w inspektach, gdy się używa co rok tej samej ziemi, albo gdy się miesza świeżo używaną ziemię z zapasami odleżałymi.

Stan. Schönfeld.

AKTUALNE UWAGI O SMAŻENIU KONFITUR

Była chwila, po wojnie światowej i w czasie tej wojny (nazywam to chwilą, choć trwała lata całe), kiedy, wskutek braku cukru, trudności jego nabycia, konfitury uważano za przedmiot zbytku. Wmawiano w siebie i innych, a ponieważ sugestia działa silnie, wkońcu zaczęto wierzyć, że bez nich obejść się można, że są zbędne.

Zastępowano je rozmaitemi namiastkami: sztucznym miodem — bez miodu, marmeladą owocową — bez owoców i tym podobnymi wojenno-niemieckimi wynalazkami.

Na szczęście, wszystko to się już skończyło. Cukru mamy nie tylko pod dostatkiem, lecz go nawet dużo eksportujemy, niestety jednak, nie zawsze z korzyścią dla producentów i Państwa. Zatrzymanie tego cukru w kraju, spożycie go na miejscu jest poniekąd obowiązkiem obywatelskim każdego polaka, tem łatwiejszym do spełnienia, że wyroby cukrowe są bardzo smaczne i, jak terazniejsza nauka twierdzi, bardzo zdrowe.

Pomiędzy przetworami cukrowymi konfitury są bodaj formą najstarszą i najbardziej rozpowszechnioną. Wyrób ich do lat niedawnych, przedwojennych, był nieomal sztuką. Każdy dom, każda gospodyni posiadała własne sekreta: na nadzwyczajnie zielony kolor agrestu, na porzeczkę drylowaną na gronkach, na bardzo jasny, nieomal opalowy kolor galarety jabłecznej, na galaretę tęczową — od najjaśniejszej różowej do najciemniejszej, koloru rubina lub granatu — w jednym słoiku. Po wojnie wyrób konfitur, jak zresztą wszystko w życiu — zdemokratyzował się. Jeżeli zaczęto jeść więcej konfitur, to zaczęto jednocześnie mniej dbać o ich piękny wygląd, a co zatem idzie, stosować do ich wyrobu mniej skomplikowane metody.

Jest to zupełnie naturalne: na pracowite, drylowane porzeczkę lub berberysy nikt dzisiaj czasu nie ma. Zastąpiły je prędko smażone, mniej słodkie, oszczędnościowe gospodarskie konfiturki. Weszły w modę angielskie dżemy, mające tę zaletę, że, choć niepozabawione wyglądu estetycznego, mogą być zrobione z pośledniejszego gatunku owocu, który wyyskujemy do ostatka.

Gospodynie miejskie, wyrażające nieraz zdanie, że w mieście, gdzie na każdym kroku można kupić gotowe stodycze, nie opłaci się smażyć konfitur — są w kompletnym błędzie. Żadne kupne cukierki, żadne karmelki, marmeladki, pomadki, ani czekoladki, nie mogą zastąpić konfitur. Szczególnie dla dzieci, którym do normalnego rozwoju kości niezbędny jest cukier, a do prawidłowego trawienia — owoce, wszelkie konfitury, szczególnie te współczesne, mniej słodkie,

a zawierające więcej owocu, niczem nie dadzą się zastąpić.

Można, naturalnie, nabyć konfitury gotowe. Każda jednak gospodyni, umiejąca rachować, powinna sobie uprzytomnić, że dla wyrobu każdego kilograma takich konfitur fabrykant musi użyć pewnej ilości sił pomocniczych w postaci opału, światła, robotnika, a chociaż surowiec ma nieco tańszy, jednak podatki: przemysłowy, obrotowy, dochodowy — taniłość tę sprowadzają do zera.

Kupiec, sprzedający konfitury, opłaca znowu sklep, światło, personel i również płaci podatek przemysłowy, obrotowy i dochodowy. Nakoniec obydwaj mają w towarze unieruchomiony kapitał, który im musi procentować, i dają własną pracę, za którą powinni słusznie być wynagrodzeni. Konfitury więc kupne muszą kosztować conajmniej dwa razy tyle (nieraz znacznie więcej), niż usmażone w domu.

Wprawdzie smażenie konfitur w mieście nie jest otoczone takim urokiem, jak na wsi, jednak stanowi raczej miłe zajęcie, niż ciężką pracę — zajęcie, w którym dom cały, a szczególnie dzieci ze specjalną przyjemnością pomagają.

No, a na wsi! Jednym z najmielszych wspomnień z zamierzchłych czasów mego dzieciństwa jest zawsze smażenie konfitur. Widzę oczami duszy ten cienisty zakątek ogrodu, gdzie pod rozłożystemi klonami, jesionami i kasztanami (lip unikano ze względu na natrętne, żądne słodczy, pszczoły) ustawione były żelazne piecyki z odprowadzającymi dym rurami blaszanymi, na których to piecykach, w błyszczących, mosiężnych miedniczkach, smażyły się przeróżne specjalności panny Leontyny, Heleny, Antoniny, czy Weroniki, jak się kolejno nazywały osoby, piastujące zaszczytną, dziś prawie niespotykaną nazwę — panny apteckowej.

Dalej stały stoły, długie, wąskie, na krzyżakach, a przy nich na ławach siedziały bosc, rumiane dziewczęta, drylujące stosy agrestu, porzeczek, wisien, głogu lub berberysu, zależnie od okresu lata. Co to była za rozkosz oddychać temi smakowitemi zapachami, emanującymi z miedniczek! co za smak niezrównany miały szumowinki! A jak się było dumną, kiedy pozwolono wziąć czynny udział w pracy, gniotąc owoce, zamiast drylowania, i brudząc niemilosierdzie ręce, fartuszek i sukienkę!

Takie rozkoszne chwile może każda zamieszkała na wsi mama i dziś dostarczyć swoim dzieciom, tem łatwiej, że, poza nielicznymi wyjątkami, smażenie konfitur wykonywa sama, conajwyżej z jakąś bosonogą i rumianą pomocnicą, a pomoc dzieci, dawniej przez starszych surowo wzbranianą, jest dzisiaj zalecana, jako system pedagogiczny, rozwijający od najmłodszego wieku praktyczność i zamięlowanie do gospodarstwa.

Po wycieczce w krainę wspomnień wracam do rzeczywistości. Każda pani, mająca gaz w łazience lub w sypialni (do grzania rurek), może sobie przeprowadzić dodatkową rurkę gumową z kranem, ustawić niewysoki stółek, na nim umieścić jednopłomienną fajerkę gazową — i warsztat do wyrobu konfitur gotów, a tem miłszy, że nie odrywa od zwykłych zajęć, że za wolnem smażeniem owocu można śledzić z książką lub robótką w ręku, zdala od skwaru blachy kuchennej i niezawsze miłej atmosfery kuchni.

Miedniczki mosiężne też nie są niezbędne: wszelkie, najwykwintniejsze nawet konfitury smażyć można w zwykłych rondlach emaljowanych, byle były w dobrym gatunku, z nieuszkodzoną emalją. W na-

czyniach emaljowanych owoce doskonale zachowują kolor, a kwasy, zawarte w owocach, nie działają wcale na emalję. Smażyć konfitur w doskonałych składniach naczyń aluminiowych bezwzględnie nie radzę: nie tylko kolor traci, lecz i kwasy owocowe przy dłuższem zetknięciu z powierzchnią aluminium mogą tworzyć związki, niezawsze dla zdrowia pożądane. Absolutnie nie nadają się do smażenia dawne rondle miedziane, pobielane: owoce w nich sinieją, czernieją, stają się brzydkie i niezdatne do użycia.

Zanim przejdę do poszczególnych metod przyrządzania konfitur właściwych i dżemów, dodam jeszcze kilka uwag ogólnych.

Powszechnie znane są dwa rodzaje nieudanych konfitur: konfitury scukrowane, w których syrop się krystalizuje, i konfitury zburzone, sfermentowane. Pierwszy objaw spotykamy obecnie stosunkowo rzadko, gdyż smażymy przeważnie konfitury mniej słodkie, niż dawniej, niema więc nadmiaru cukru w konserwie, co powodowało krystalizowanie. Dobrą ochroną przeciwko cukrzeniu się konfitur jest dodawanie przy smażeniu syropu kartoflanego. Nie zmieni to smaku konfitury, a nada pożądaną gęstość syropowi, przez co owoce nie wypłyną na wierzch — objaw tak często obserwowany, szczególnie u truskawek — i absolutnie zabezpieczy syrop od scukrzenia. Nieduża łyżka syropu na kilo konfitur zupełnie wystarcza, jako środek zapobiegawczy. Możemy go stosować tylko w takim razie, jeśli, mając jakieś wyjątkowo piękne egzemplarze owocu, chcemy im zachować całą krasę i kształt po usmażeniu.

Przeciw fermentowaniu się (tak zwanemu — burzeniu) broni skutecznie benzoosoda, znany w handlu pod nazwą pastylek benzoosowych. Środek ten, wprowadzony u nas przez Niemców w czasie okupacji, użyty w niedużej ilości (pół pastylki na kilo konfitur lub syropu), jest nieszkodliwy dla zdrowia, a zupełnie zapobiega fermentacji. Nie broni on jednak od pleśni — tej plagi wilgotnych szaf i spiżarni. Pleśni można zapobiec, pokrywając zupełnie już ostygłe konfitury krążkiem pergaminu, umaczanym w spirytusie salicylowym. Benzoos dodajemy w chwili, gdy zupełnie już usmażone konfitury mamy zdjąć z ognia. Pastylkę rozpuszczamy w możliwie małej ilości (najwyżej jedna łyżka gotowanej, ostudzonej wody — trwa to zwykle kilka minut) i wlewamy do wrzącego syropu. Późem, nie gotując więcej, odstawiamy miedniczkę lub rondel.

Pani Elżbieta.

DO KĄD SIĘ UDAĆ NA WYWCZASY LETNIE?

Mamy już lato — lato tak miłe i rozkoszne na wsi, wśród lasów, wśród gór, a tak niejednokrotnie przykre wśród murów miast. Przyszło lato, a z niem pora, w której mieszkańcy miast z utęsknieniem wyczekują chwili, w której wyrwać się będą mogli z objęć rozpalonych gorącymi promieniami słońca murów i uciec od nich pod baldachim niebieski, w chłód lasów, nad kwieciami obramione strumyki, na kwieciste łąki. W chwili tej należy wielu przypomnieć, że jest w Polsce miejscowość, jakiej niema może w całym świecie, a tą miejscowością jest Zakopane. Nie jest to przesada, tak jak nie jest zasługą zakopiańczyków, że Zakopane znalazło się w tak szczęśliwym położeniu. Złożyły się na to czynniki leżące poza możliwościami ludzkiemi. Warunki, w jakich znalazło się Zakopane, stworzyła moc boska, stworzyła przyroda.

Przytulone do samych stóp Tatr, bezsprzecznie najpiękniejszych gór w świecie, z sąsiedztwa tychże i ich piękna czerpie Zakopane wszystko i wszystko im zawdzięcza — a więc tak

cudne i niezatarte wspomnienia pozostawiające widoki, jak znakomite i jedyne w Polsce warunki klimatyczne.

Zakopane, położone około tysiąc metrów nad poziomem morza, posiada klimat alpejski z wszystkimi jego przymiotami, a więc małą wilgotność, niskie ciśnienie barometryczne, czystość i przejrzystość powietrza, bardzo duże nasilenie promieni słonecznych, rzadkie mgły. Zalety te uczyniły też z Zakopanego idealne miejsce wypoczynkowe i lecznicze, w którym odzyskują siły i zdrowie przede wszystkim chorzy płucni i nerwowo. Dowodem tego powstawanie od szeregu lat na terenie Zakopanego licznych sanatoriów i domów zdrowia, jak wojskowego, nauczycielskiego, pocztowego, policyjnego, dziecięcego, akademickiego itd. itd. Sława Zakopanego jako stacji leczniczej jest zresztą dostatecznie znana i niema potrzeby zbytnio się o tem rozpisywać.

Ale to nie jedyna zaleta Zakopanego, które rozłożone na dużej przestrzeni ma aż nadto miejsca, aby obok chorych pomieścić i zdrowych, to jest tych, którzy pragną wypoczynku tylko, czy rozrywek. A tych ostatnich dostarcza Zakopane niezliczoną moc i w różnej postaci. Turyści-taternicy znajdują w Tatrach jedne z najciekawszych i najpiękniejszych terenów wysokogórskich, miłośnicy przyrody znajdują rozkosz i zadowolenie w obcowaniu z nią w przepięknych, a bezpośrednio w sąsiedztwie Zakopanego leżących dolin, czy na Hali Gąsienicowej, bądź przy majestatycznym Marskiem Oku. Zwolennicy zabaw mają ich poddostatkiem w różnych lokalach rozrywkowych, jak Hotel Bristol, na przedstawieniach teatralnych, koncertach, rautach i balach. Zwolennicy sportu mają tu taki program, jakiego nie daje nawet osławione w całym świecie pod tym względem St. Moritz.

Po odzyskaniu niepodległości nastąpił szybki rozwój Zakopanego. Liczba gości, która przed samym wybuchem wojny zaledwie przekraczała 10.000 rocznie, dochodzi już do 50.000, a wliczając w tę cyfrę jedno, czy dwudniowe wycieczki, nie-meldowane, znacznie tę cyfrę przekroczy. Dalszy rozwój Zakopanego jest zapewniony bezwzględnie, jakkolwiek zależy to od pomocy, jaką Zakopane uzyskać będzie mogło od sfer rządowych, bez jakiej nie będzie w stanie wykonać naraz wszystkich inwestycji, które pozwoliłyby mu stanąć w szeregu światowych uzdrowisk. Mimo to zyskuje ono coraz większy rozgłos nie tylko w Polsce, ale i zagranicą, a liczba gości zagranicznych w Zakopanem — i to niemal ze wszystkich części świata — wzrasta coraz bardziej i stanowi już poważny odsetek ogólnej frekwencji. Dużą zasługę ma w tem Hotel Bristol, hotel wybitnie reprezentacyjny, prowadząc kolosalną propagandę w kraju i poza krajem.

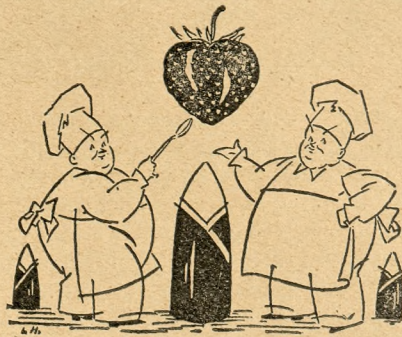
Sezon letni tegoroczny zapowiada się pod każdym względem dobrze. Horoskopy co do pogody, oparte na doświadczeniach i obserwacjach w zimie są dobre i pozwalają już teraz wróżyć niemal z całą pewnością suche i pogodne lato. Pozwoli to na korzystanie w całej rozciągłości z wycieczek w głąb Tatr, pozwoli na korzystanie z boskiego tatrzańskiego powietrza i słońca. Zapowiedziane na lato tegoroczne imprezy sportowe, lekkoatletyczne, tenisowe, wysięg cyklistów, mecze footballowe, a co najważniejsze imponujący międzynarodowy samochodowy „Wysięg Tatrzański” na szosie do Morskiego Oka, urozmaica program pobytu i dadzą gościom wiele emocyj.

Kawiarnie nasze połączone z dancinami przygotowują moc niespodzianek i sprowadzają najlepsze orkiestry. Zapowiedziane i w części już odbyte wycieczki, jak kongresu międzynarodowego kolejarzy abstynentów, w którym brali udział francuzi, szwajcarzy, rumuni, czesi, duńczycy i t. d., dalej wycieczka wszechsłowiańskiego zjazdu kobiet, wycieczka 25-go kongresu esperantystów, ogólnopolski zjazd lekarzy przeciwgruźlicy i t. d. — wpłynęły i również wpłyną na ożywienie życia towarzyskiego.

W Lipcu i Sierpniu urządzona zostanie po raz pierwszy w Polsce „Górska Opera na Wolnem Powietrzu”, budząca już dziś wielkie zainteresowanie. Wystawiona zostanie na tle pięknych gór „Halka” i „Zersta Jontka”, znana ze swego piękna i malowniczości. — A wreszcie — i co najważniejsze, Zakopane jest obecnie bezsprzecznie najtańszą miejscowością tego rodzaju w Polsce. Już za 8 do 16 zł. można znaleźć bardzo wygodne pomieszczenie z utrzymaniem w tańszych pensjonatach, a w najdroższych nie przekracza ono 22 zł. Pod tym względem Zakopane od lat paru ma jaknajlepszą opinię.

Zatem przy wyborze miejsca na letnisko nie należy się wiele namyslać, a pakować manatki i jechać pod stopy Giewontu, gdzie czeka wszystkich balsamiczne boskie powietrze i przewspaniała natura.

Karol Kwaśniewski.



OBIADEK BYŁ... SŁABY,

ale omlet z konfiturami uratował sytuację..

Konfitury i soki zawsze pod ręką — oto hasło, które dobra gospodyni realizuje w lecie, gromadząc zapasy.

Przypominamy o sezonie smażenia konfitur, soków, kompotów z truskawek, czereśni, porzeczki, róż, agrestu, malin, porzeczek, moreli, wisien i t. p. 570

OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

(NA 5 OSÓB).

OBIAD JARSKI.

Kaszka krakowska z koperkiem.
Budyń ze szpinaku z grzankami.
Maliny z mlekiem.

Dwa litry wody zagotować z włoszczyzną: marchewką, pietruszką, cebulą, porem, kawałkiem selera. W oddzielnym rondelku ugotować dwadzieścia deka średniej kaszki krakowskiej z łyżką masła (5 deka) i malusim suszonym grzybkiem. Gdy się kaszka doskonale rozgotuje, wybić ją mocno drewnianą łyżką, osolić, wlać ugotowany smak z jarzyn, jeszcze raz razem zagotować. Do wazy włożyć garść zielonego koperku i kawałek śmietankowego masła, wylać na to zupe, wymieszać przed podaniem.

Kilo szpinaku wrzucić na osolony wrzątek, zagotować raz. Odcedzić, ostudzić, przepuścić przez maszynkę. Na misce utrzeć sześć deka masła i cztery żółtka, dodać szpinak i szklankę utartej bułeczki, wlać szklankę mleka, osolić, odrobinę popieprzyć. Nakoniec dodać ubite na sztywną pianę białka, lekko wymieszać i przelać do wysmarowanej masłem i wysypanej bułeczką formy budyniowej. Zamknąć szczelnie i gotować w rondlu z wrzącą wodą godzinę i kwadrans. Wyłożyć na półmisek, obłożyć wokół grzankami z bułki, zrumienionymi na maśle, lub na dobrym szmalcu. Na grzanki ukrajać 10 — 12 skibek z długiej bułki i do zrumienienia ich użyć 6 deka tłuszczu.

Kilo starannie przebranych malin posypać na parę godzin przed obiadem dziesięcioma deka cukru-pudru. Oddzielnie podać pół litra dobrego, zimnego mleka.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

MAKARON „MILANAISE“.

Jest to jeden z całego szeregu sposobów przyrządzania makaronu pod tą nazwą. Ma on tę zaletę, że nie wymaga tylu dodatków, co w przepisach z dawnych książek, gdzie za konieczne dodatki uważane są trufle, kogucie grzebienie i nerki oraz tym podobne, niesłychanie kosztowne przyprawy.

Pół kilo niezbyt grubego makaronu ugotować w całej długości, nie łamiąc. Nie gotować długo: powinien tylko stracić smak surowej maki, ale przy jedzeniu musi stawiać pewien, lekki opór pod zębami (makaron przegotowany staje się nietylko klejki i niesmaczny, ale jest nawet mniej strawny). Tak ugotowany makaron odcedzić, przetrząść z łyżką surowego masła, dodać odrobinę białego pieprzu i gałki muszkatołowej. Makaronu nie należy solić, tylko gotować w mocno osolonej wodzie. Włożyć piętnaście deka krajanej w kostkę szynki, dziesięć deka ostrego, tartego sera, kilkanaście uduszonych w maśle pieczarek, lub młodych prawdziwych grzybków. Ułożyć na salaterce, ładnie zwijając makaron w ślimak, polać czystym pomidorowym sosem i bardzo gorący podawać.

SUFLET Z MŁODEJ MARCHWI.

Ugotować dwa pęczki (około 60 deka) młodej marchwi — najlepiej karotki — odcedzić i dać ostygnąć. Przepuścić przez maszynkę do mięsa, lub do kartofli. Łyżkę maki zasmażyć na biału w łyżce masła, rozprowadzić pół szklanką mleka lub rosółu, włożyć marchew, raz zagotować. Osolić do smaku. Wbić dwa lub trzy żółtka (zależnie od wielkości jaj), dobrze zrumienić. Pozostałe białka ubić na sztywną pianę, zmieszać z resztą masy. Ułożyć na półmisku, wysmarowanym masłem, lub w ogniotrwałej foremce, również masłem wysmarowanej. Upiec w średnio gorącym piecu. Podawać w tem samym naczyniu, wprost z pieca, gdyż stojąc, suflet taki opadnie.

PIECZEŃ WOŁOWA DUSZONA.
(*Boeuf à la mode*).

Kilo wołowiny bez kości od zrazowej, krzyżowej, lub białej pieczeni, zrumienić z obu stron w łyżce masła czy topionej słoniny. Mięso wyjąć, na dno garneczka włożyć parę tłustych skórek od szynki lub wędzonej słoniny, włożyć napowrót mięso. Dodać dwie spore cebule, podzielone na połówki, pokrajaną na cząstki pietruszkę, por, kawałek selera, przykryć pokrajaną w krążki marchewką (około pół kilo). Polać dwiema szklankami wody i szklanką białego wina (może być owocowe). Mięso należało osolić przed zrumienieniem. Teraz dodać jeszcze trochę soli do jarzyn, wrzucić cały listek, kilka ziarn pieprzu i ziela (francuzi dodają jeszcze ząbek czosnku, co ja uważam za zbyt ciężkie). Przykryć szczelnie pokrywą i dusić wolniutko dwie godziny, często potrząsając rondlem, aby do dna nie przystało, lecz nie otwierając rondla. Wyjąć mięso, pokrajać w plastry, obłożyć z jednej strony jarzynami, w których się dusiła, z drugiej kartofelkami z wody. Polać sosem, którego pozostanie zaledwie kilka łyżek, i posypać po wierzchu cienko pokrajane mi skórkami słoniny.

JAM (DZEM) MALINOWO-PORZECZKOWY.

Kilo porzeczek, obranych z gałązek (mogą być drobniejsze, niezdatne na konfitury), zalać wodą, aby tylko objęło, zagotować parę razy, precedzić przez gęsty worek flanelowy lub barchanowy. Obrac kilo ładnych, niepogniecionych i niesfermentowanych malin. Kilo i sześćdziesiąt deka cukru, grubego kryształu, zalać w miedniczkę sokiem z porzeczek, zagotować raz tylko, mieszając, aby cukier do dna nie przystał. Na wrzący ulep wrzucić maliny i smażyć na nieco silniejszym ogniu, niż zwykle konfitury. Gdy maliny staną się przezroczyste, a syrop, po wpuszczeniu kropli na zimny talerzyk, ścina się na lekką galaretkę — odstawić miedniczkę od ognia.

Przygotować nieduże słoiki, ogrzać je mocno w piecu. Nalewać w nie nieco przestudzony dżem. Należy uchwycić ten moment, kiedy galareta jeszcze się nie ścięła, ale już o tyle zgęstniała, aby maliny nie opadły na dno, ani nie spłynęły do góry, tylko, stygnąc, jakby zawisły w galarecie. Śliczna i bardzo smaczna konfitura. Po dokładnem zastudzeniu (najlepiej nazajutrz), zakleić słoiki błoną celuloidową krajowego wyrobu, tak zwanym Polofanem.

CZARNE JAGODY NA ZIMĘ.

Na zupy i na sosy owocowe, tak miłe wczesną wiosną, kiedy owoców świeżych jeszcze niema, można w łatwy sposób zakonserwować czarne jagody (czernice, czarne borówki) w sposób następujący. Dojrzałe, lecz nie sfermentowane (co się poznaje po niedającej się usunąć goryczy) jagody przepuścić przez maszynkę do mięsa. Na osiem kilo jagód dodać jedno (wyraźnie!) deka kwasu salicylowego. Wymieszać. Napelnić tą masą czyste, suche butelki. Zakorkować, korki namoczyć w parafinie. Przechowują się rok cały, jakby dopiero co zebrane, a tak nieznaczna ilość salicylu nie może być szkodliwa. *Pani Elżbieta.*

KORESPONDENCJE

„Wiśni“. — List wysłałam pod wskazanym przez Panią adresem.

Pani Marja D. w Gorlicach. — Zechce Pani napisać list pod adresem moim do Redakcji „Bluszcza“, z podaniem swojego adresu, a prześlę Pani wyczerpującą odpowiedź.

Pani Z. R. w Garmolinie. — List wysłałam pod adresem Pani.

Pani Stefanji Trz. — Dieta, o którą Pani zapytuje, polega na unikaniu herbaty, kakao, kartofli, jako pokarmów, zawierających w większej lub mniejszej ilości kwas (szczawikowy) od 4,5 gr. w kakao do 0,3 gr. w fasoli na każdy kilogram. Zalecić zaś można węglowodany pod postacią potraw mącznych, poza tem kaszę manną, kaszę perłową, ryż. W mniejszych ilościach należy spożywać mleko i jaja, jako zawierające sole wapnia. Polecie również można w dowolnych ilościach mięso, groch, pomidory, rzepę, kompoty i salaty.

O ile kamienie zawierają sole fosforowe, należy również ograniczyć spożywanie owoców i jarzyn.

Pani Zosi. — Środki, o które Pani chodzi, może Pani dostać w każdej aptece. Proszę więc zwrócić się do najbliższej, a o ile nawet narazie ich nie będzie, to właściciel apteki sprowadzi je z Warszawy. *Dr. Z. R...owska.*

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł., kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.
Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszcza“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.
Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ“, Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA - OKOŁÓW (naczelną) i MARJA PODHORSKA - OKOŁÓW.
Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 744-73.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcza“. Rymska 8, tel. 244-18.